



Rozdział 1

Jesienna niespodzianka

NIE PAMIĘTAM jesieni ładniejszej od tej, która nastąpiła, kiedy miałem piętnaście lat. Mieliśmy babie lato aż do października - przerywane dokładnie tyloma mżawkami, ilu potrzeba było, by kwiatki w rabatkach cioci Lou mogły dalej kwitnąć, a trawniki utrzymać swój zielony kolor, który odcinał się od żółci i złota jesiennych liści i krzewów. Wydawało się, że nawet liście nie chcą schować się przed zimą i z uporem trzymają się na gałęziach w całej swojej barwnej krasie. Słońce ogrzewało powietrze każdego dnia, a temperatura w nocy spadała na tyle, by przypomnieć nam, że zamiast obijać się nad rzeką i udawać, że taka dobra pogoda zostanie z nami na zawsze, powinniśmy raczej przygotowywać się do zimy.

Rolnicy z okolicznych terenów zebrali już plony, kobiety wybierały wszystkie warzywa ze swoich okazałych ogródków przy gospodarstwach, a my, kiedy tylko nadarzała się

okazja, dalej leniuchowaliśmy nad strumieniem, bo pogoda wciąż się nie pogarszała. Niektórzy zaczęli nawet przebąkiwać o urządzaniu pikników i letnich przyjęć, ale nikt chyba nie miał ochoty rzeczywiście wysilać się, żeby je zorganizować, bo z wpływem kolejnych dni nie odbył się wcale żaden piknik - zamiast tego wygrzewaliśmy się po prostu na słońcu albo chodziliśmy na długie, leniwe spacerunki po kolorowej okolicy.

Jak zapewne już się domyśliliście, moje ulubione miejsce znajdowało się nad rzeką. Zabierałem ze sobą wędkę i udawałem się tam, kiedy tylko mogłem. Zazwyczaj szedł ze mną także dziadzio, czyli mój pradziadek. Wędkowanie - i byczenie się - podobało mu się chyba prawie tak samo jak mnie. W wycieczkach na ryby przeszkadzała mi jedynie szkoła. Większość okolicznych chłopców w moim wieku zrezygnowała z dalszej nauki i podjęła pracę w sklepie albo została na farmie, by pomóc rodzicom, ale ja dalej chodziłem do szkoły.

Częściowo dlatego, że tak bardzo zachęcała mnie do tego ciocia Lou. Twierdziła, że mam głowę do nauki i szkoda byłoby tego nie wykorzystać. Jej mąż, wujek Nat, zgadzał się z jej opinią. A ponieważ był pastorem naszego małego miejscowego kościoła, uznałem, że jeśli ktoś wie coś o znaczeniu edukacji, to właśnie on. Swoją okupił dużym wysiłkiem, jednocześnie pracując i ucząc się najpierw w szkole, a potem w seminarium. Nie miał rodziców, którzy mogliby go wspierać i pomagać finansowo, bo zmarli, gdy był jeszcze bardzo młody.

Ja miałem o wiele łatwiej. Mogłem liczyć nie tylko na Lou i Nata, ale też na dziadka, jego brata Charliego i dziadzia,

mojego pradziadka. Wszyscy oni byli gotowi zapewnić mi jak najlepszy dostęp do edukacji.

Nie przeszkadzało mi to, że chcieli, abym się uczył. W zasadzie nawet to lubiłem, chociaż nasza szkoła nie była zbyt duża, a większość uczniów stanowiły małe dzieci albo dziewczęta. Oczywiście uczęszczało do niej również kilku chłopców, jak na przykład mój najlepszy przyjaciel, Avery Garrett. Jemu jednak niespecjalnie zależało na wykształceniu i nie wiedział, jak chciałby je wykorzystać. Domyślałem się, że nie przerwał nauki ze względu na mnie, no i w szkole zawsze jest w końcu trochę zabawy. Tyle tam dziewczyn i takie tam.

Poza tym uczył się też z nami Jack Berry. Jego ojciec uparł się, że Jack zostanie kiedyś lekarzem. Jack nie był jednak co do tego przekonany. Prawdę mówiąc, w głębi serca marzył o karierze żeglarza. Tyle tylko, że nie miał pod ręką żadnego większego zbiornika wodnego. Nie miał więc pojęcia, w jaki sposób mógłby się dostać na statek lub przynajmniej cokolwiek większego niż wyglądająca na chybotliwą łódka z dwoma wiosłami, którą zostawiono przy małym stawie blisko miasta, dla każdego, kto miał ochotę trochę powiosłować.

Willie Corbin także chodził dalej do szkoły. Chciałbym odrobinę o nim opowiedzieć. W przeszłości Willie był największym urwisem w naszej okolicy. Pakował się we wszystkie możliwe kłopoty. Dorośli spodziewali się, że do niczego nigdy nie dojdzie i najprawdopodobniej skończy w więzieniu lub coś w tym stylu. Ja wiedziałem, że Willie nie był taki zły - po prostu lubił się dobrze bawić, nic więcej. Wszystko

jednak zmieniło się, gdy Willie doszedł do wniosku, że woli spędzić swoją dalszą przyszłość raczej w niebie niż w piekle.

Zdarzyło się to już dawno temu, kiedy mój wujek Nat wygłaszał swoje pierwsze kazanie w naszym kościele. Ledwo co otrzymał propozycję posady pastora. Tamtego dnia Willie się poprawił i nigdy już nie wrócił do swojego dawnego zachowania. Stwierdziłem, że jeśli Bóg jest w stanie dokonać takiej przemiany w Williem Corbinie, to poradzi sobie z prawie każdym. Tak czy inaczej, Willie doszedł do wniosku, że Bóg chce, żeby Mu służył. Nauka przychodziła mu raczej z trudem, mimo to nie dało się go nie podziwiać. Harował jak wół z determinacją, by przygotować się do ciężkiej pracy z poganami, którą miał gdzieś kiedyś wykonywać.

Tych trzech chłopców z mojej dawnej szkoły na wsi ciągle się ze mną uczyło. Oprócz tego było jeszcze czterech starszych chłopaków z miasta. Trzymaliśmy się wszyscy razem, ale więcej czasu spędzałem z dawnymi znajomymi, prawdopodobnie głównie dlatego, że chodziliśmy też do tego samego kościoła. Ciocia Lou twierdziła, że chłopcy z miasta byli trochę „nieokrzesani”, i chociaż nie zabraniała mi się z nimi widywać, wołała jednak, bym przyjaźnił się z młodzieżą z kościoła.

Nie miałem nic przeciwko. Lubiłem chłopców z naszego kościoła i bardzo dobrze się z nimi bawiłem piekąc kukurydzę, zjeżdżając na sankach, ślizgając się po zamrzniętym stawie i takie inne.

Ciężko było mi uwierzyć, że razem z Pixie, moim małym psem, mieszkaliśmy w mieście u cioci Lou i wujka Nata już od dwóch lat. Nie spędzaliśmy tam jednak całego naszego czasu.

Kiedy tylko pogoda była dobra - a jak wspomniałem, utrzymywała się taka przez większość jesieni - jechaliśmy w weekend na farmę, by spędzić parę chwil z dziadkiem, wujkiem Charliem i dziadziem, którzy wspólnie tam żyli.

Ciężko byłoby mi zdecydować, które miejsce lubiłem bardziej. W ciągu tygodnia w mieście odliczałem dni do powrotu na wieś, gdzie mógłbym porąbać trochę drzewa albo pójść na pastwisko z Bessie, krową, którą sam tak wiele razy doiłem. Przyjemność sprawiało mi nawet słuchanie kwików i chrząkań świń, kiedy rzucałem im pomyje do koryt. Gdakanie kogutów, którym nalewiałem wodę i posypywałem ziarno, brzmiało natomiast bardziej jak śpiew.

Kiedy tylko jednak nadchodziła niedziela wieczór, nie mogłem doczekać się powrotu do miasta, do cioci Lou i wujka Nata. Zastanawiałem się, co ciocia Lou przyrządziła na kolację i czy zostawiła mi kawałek ciasta albo knedle z jabłkami. Myślałem o tym, czy wujka Nata nie wezwano do jakiegoś chorego, a mnie nie było na miejscu, żeby pomóc mu zaprząć Dobbina. Analizowałem wszystko, o co chciałem ich zapytać lub co chciałem im opowiedzieć po powrocie. Patrząc na to, jak odliczałem minuty do powrotu, można by pomyśleć, że nie było mnie w mieście przez wiele dni. A prawda była taka, że wcześniej tego samego poranka widziałem ich oboje w kościele podczas nabożeństwa.

W taki właśnie sposób spędziłem jesień, jeżdżąc tam i z powrotem, próbując wycisnąć z tej sytuacji ile się tylko dało. Wykończyłbym się, gdyby nie to, że jesień była taka długa

i luźna. Dzięki dobrej pogodzie nawet po wykonaniu całej pracy mieliśmy jeszcze mnóstwo czasu na leniuchowanie.

Taka piękna pogoda ma jednak pewien minus. Strasznie ciężko skupić się na nauce. Wydawało się, jak gdybym każdego niemal dnia przymuszał się do odrabiania lekcji. A potem wydarzyła się jeszcze jedna dziwna rzecz. Panna Williams, która uczyła w naszej szkole od wieków, wstrząsnęła całą okolicą oznajmiając, że zamierza wyjść za mąż! Tak po prostu!

Nikomu o zdrowych zmysłach nie przyszłoby do głowy, że panna Williams może być czyjąś żoną. To znaczy, jak ktoś mógłby o czymś takim w ogóle pomyśleć? Była sama przez całe lata i wydawało się, że jej to odpowiada, aż tu nagle okazało się, że wychodzi za mąż. Za człowieka, którego kochała od trzydziestu siedmiu lat. Nikt z miasta niczego o nim nie wiedział. Nigdy wcześniej nawet o nim nie słyszeliśmy. To jednak nie powstrzymało panny Williams. Postanowiła odejść ze szkoły bez uprzedzenia - po prostu spakowała torby i książki, a potem wsiadła do pociągu jadącego na wschód, by poślubić tego człowieka.

My natomiast zostaliśmy bez nauczyciela. Nikt jednak z tego powodu nie rozpaczał. Nawet ja, który lubiłem szkołę. Jack Berry nie próbował ukryć swojego entuzjazmu – na wieść o braku nauczyciela wykrzyknął radośnie. Parę dziewcząt rzucało mu poirytowane spojrzenia, ale Jack nie bardzo się tym przejął. Wykrzyknął raz jeszcze, wyrzucając w powietrze swoją kraciatą czapkę.

- No to co zrobimy z tym nieoczekiwanym błogosławieństwem? – spytał Jack.

- Co masz na myśli? - odparł Willie. I tak miał już problemy z angielskim. - Błogosławieństwem? Jak dla mnie żadne to błogosławieństwo. Panna Williams była dobrą nauczycielką. Wolałbym, żeby z nami została i kontynuowała swoją pracę.

Pomyślałem, że po trzydziestu siedmiu latach pracy nikt nie mógłby oczekiwać od panny Williams, by została jeszcze dłużej. A ja, choć współczułem Williemu, nie potrafiłem powstrzymać się od uśmiechu. Z mojej perspektywy owa okoliczność nosiła wszelkie znamiona błogosławieństwa. Szczególnie biorąc pod uwagę to, jak bardzo pogoda zachęcała nas do wyjścia na zewnątrz. Zima może nastać lada moment i przez długie miesiące nie zobaczymy już promieni słońca. Wtedy będzie czas na nadrabianie zaległości w nauce.

- No więc - nalegał dalej Jack - co robimy z tym... uciemieniem?

Na to słowo nawet Willie nie zdołał się powstrzymać i po chwili wszyscy już zanosiliśmy się śmiechem. Gdy już się uspokoiliśmy, przeszliśmy do poważnego planowania.

- Ja chyba pojedę na farmę - powiedziałem. - Tak jak zawsze podczas świąt czy wolnych dni.

Jack mieszkał na obrzeżach miasta, gdzie nie było zbyt wiele zajęć dla dorastającego chłopca. Jego rodzice nie mieli bydła, ani upraw, ani nic.

- Jeśli pojedę do domu, tata i tak każe mi siedzieć z nosem w książkach. Równie dobrze mogę zostać w szkole - narzekał. - W zasadzie tak byłoby nawet lepiej. Tutaj przynajmniej mam przerwę.

Willie popatrzył na niego z urazą. Jack był naprawdę bystry i Williego chyba bolało, że musiał tak ciężko pracować na swoje oceny, podczas gdy Jack tylko się wygłupiał i nie interesowało go, jakie otrzymuje stopnie.

- Pewnie urządzę sobie kilka dłuższych wypraw na ryby - kontynuowałem, chcąc jakoś rozładować napięcie.

- Wszyscy moglibyśmy zagrać w futbol - dorzucił Willie. Uwielbiał futbol i pomimo tego, że żaden z nas nie miał odpowiedniego sprzętu do gry, a rodzice martwili się o nasze bezpieczeństwo, był w tym sporcie całkiem dobry.

- Już od jakiegoś czasu myślałem o zorganizowaniu wycieczki nad rzekę. Moglibyśmy urządzić sobie biwak i zostać tam na noc albo dwie - odezwał się Avery.

- Świetny pomysł - niemal wrzasnąłem. Zastanawiałem się, dlaczego samemu nie przyszło mi to do głowy. Zdziwiło mnie, że Avery o tym wspominał. Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby miał na coś takiego ochotę. Ja nie byłem do tej pory na wyprawie z nocowaniem, a biorąc pod uwagę, jak pięknie wyglądał wówczas las, uznałem to za pierwszorzędną propozycję.

Jack i Willie podzielili moje podekscytowanie.

- Myślicie, że rodzice nam pozwolą? - zapytał Willie.

- Dlaczego nie? Mamy już po piętnaście lat. Najwyższy czas na samodzielność!

Całkowicie się z nim zgadzałem. Prawdopodobnie od dawna już bym do tego dążył, gdyby taki pomysł przyszedł mi wcześniej do głowy.

- Zapytajmy - zaproponował Jack. - W najgorszym wypadku odmówią.

Teraz, kiedy zapaliłem się już do tego pomysłu, zemdliło mnie na myśl o tym, że mogliby nam zabronić. Dorosli musieli się zgodzić! *Musieli!*

- Kogo zapytasz o pozwolenie? - odezwał się Avery, a ja dopiero po chwili zrozumiałem, że zwraca się do mnie.

- Hmm? - chrząknąłem.

- Zapytasz ciocię Lou czy dziadka?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem. Teraz mieszkam u cioci Lou.

- Myślisz, że pozwoli ci pójść?

Zastanowiłem się. Ciocia Lou była bardzo wyrozumiała, ale była też trochę nadopiekuńcza. Czy zrozumiałaby, jak wiele znaczy dla chłopca samodzielny biwak? Potem pomyślałem o dziadku. Był równym gościem i najlepszym opiekunem, jakiego można sobie zażyczyć. Ale wiedziałem, że nigdy nie pomyślałby o wyprawie w góry, nawet po zakończeniu wszelkich jesiennych prac. On też wolałby chyba, żebym został w domu i posiedział nad książkami.

- Nie wiem - powtórzyłem.

- Cóż, przynajmniej masz jakiś wybór - skomentował Avery. - Ja muszę jakoś przekonać mamę. Jeśli uda mi się ją namówić, poradzi sobie z tatą.

Jedną rzecz wiedziałem na pewno - ja nie miałem rodziców, z którymi mógłbym o tym porozmawiać.

- Słuchajcie, chłopaki - powiedział Jack Berry. - Możecie przyjść dziś wieczorem do mnie jak skończycie prace na gospodarstwie? Musimy zebrać pomysły i obmyślić jakiś plan ataku!

Wariat z tego Jacka! Lubił udawać, że pomiędzy nami a rodzicami toczy się jakaś wojna, ale mimo to pokiwaliśmy głowami i zgodziliśmy się znaleźć trochę czasu, by porozmawiać u Jacka po tym, jak naniesiemy wodę i zatroszczymy się o węgiel i drewno do domu.

Tak więc rozeszliśmy się. Wydawało mi się, że wszyscy wstrzymaliśmy oddechy. Przechodząc przez bramę prowadzącą do domu cioci Lou, rzuciłem jeszcze jedno spojrzenie na las w oddali. Wyglądał tak zachęcająco! Z miejsca, w którym stałem, przywołałem w wyobraźni punkt, gdzie rzeka przecina wzgórze i płynie dalej na południe. Słyszałem niemal szelest złotych i czerwonych liści, a na policzku czułem delikatny powiew chłodnego wiatru.

Z oddali dobiegło mnie krakanie wrony i zacząłem się zastanawiać, dlaczego nie odleciała jeszcze na południe. Ona także chciała najwyraźniej zostać dłużej i nacieszyć się jeszcze tą piękną pogodą. Rety, w taki dzień miało się wrażenie, że lasy i pola przyciągają człowieka do siebie. Ledwo mogłem się zebrać, żeby napełnić skrzynię na drewno i wiadro z węglem.



Rozdział 2

Przedstawienie sprawy

POCHŁANIAJĄC CIASTECZKA I MLEKO, które przygotowała dla mnie ciocia Lou, nie byłem zbyt rozmowny. Lou słyszała już o tym, że panna Williams tak po prostu odeszła, przez co w naszej szkole zabrakło nauczyciela w samym środku semestru.

- Wielka szkoda... - zauważyła. Odniosłem jednak wrażenie, że zaczęła powtarzać to, co mówili inni w okolicy, bo nagle przerwała, zamilkła na moment i zamyśliła się. Po chwili odezwała się ciszej, jak gdyby poufałym tonem. - Moim zdaniem to ekscytujące, że panna Williams wreszcie zdecydowała się wyjść za męża za człowieka, który był jej przyjacielem od tylu lat. To musiało wymagać od niej odwagi. Mam wielką nadzieję, że będą razem szczęśliwi.

Zwróciła wzrok na stojący na kominku ferrotyp jej własnego ślubu. Ja również na niego zerknąłem. Nawet sztywna poza

nie była w stanie ukryć blasku w oczach cioci Lou i triumfu w spojrzeniu wujka Nata. Oczy Lou zaszyły mgłą, po czym potrząsnęła głową i powiedziała cicho:

- Szkoda tylko, że to wszystko stało się w samym środku roku szkolnego.

Mimo to wiedziałem, że ciocia Lou była gotowa wybaczyć panie Williams jej małe wykroczenie przeciwko zachowaniu przystającemu nauczycielce.

Lou wstała.

- Cóż, z pewnością nie potrwa to zbyt długo - powiedziała, jak gdyby chciała mnie pocieszyć. - Rada szkoły zwołała już spotkanie. W mgnieniu oka pojawi się nowy nauczyciel.

Wyciągnęła rękę i poklepała mnie po ramieniu.

Spróbowałem przywołać na twarz wyraz smutku i przełknąłem resztkę mleka.

- Lepiej zabiorę się do pracy - oznajmiłem, tłumacząc swój pośpiech. - Razem z innymi chłopcami wybieramy się dziś wieczorem do Jacka. Chcemy zaplanować, jak wykorzystać ten... okres bez nauczyciela. I tak dalej.

Lou uśmiechnęła się z aprobatą.

- Dobry pomysł! - zawołała zachęcająco. - Miło wiedzieć, że jesteście na tyle odpowiedzialni, by jakoś sobie ten czas zorganizować. Z takim podejściem nawet przerwa od szkoły wam nie zaszkodzi.

Skinąłem głową. Ja też nie spodziewałem się, żeby ta przerwa nam zaszkodziła - oczywiście tylko pod warunkiem, że dorośli pozwolą nam zrealizować nasz zamiar.

Naprawdę wykonawszy wszystkie obowiązki, uchyliłem lekko drzwi do kuchni, by powiadomić ciotkę Lou, że wychodzę, ale wrócę jeszcze długo przed kolacją. Odpowiedziała mi wesołym tonem, w którym dało się słyszeć uśmiech aprobaty. Czułem się z tym dziwnie. Lou myślała, że będziemy się zastanawiać nad tym, jak nie narobić sobie zaległości w nauce, podczas gdy tak naprawdę rozważaliśmy, w jaki sposób uciec od książek tak daleko, jak tylko się dało w owym krótkim czasie, który mieliśmy do dyspozycji.

Nie zwracałem sobie tym jednak zbyt długo głowy, z szeslestem szurając butami po leżących na ziemi liściach. Przecież nie powiedziałem wcale ciotce Lou, że planujemy się *uczyć*. To był jej pomysł.

Dotarłem do domu Jacka jako pierwszy. Okazało się, że Jack leżał pod jabłonią w swoim ogródku, z książką do geometrii w dłoni. Wiedziałem, że wysłano go tu, by się uczył. Na mój widok przestał udawać, że patrzy w książkę i dał mi znak, bym do niego dołączył.

- I jak? - zapytał.

- Ech, nic jeszcze nie powiedziałem - przyznałem się. - A ty? Bo wiesz, myślałem, że najpierw się spotkamy i coś ustalimy...

- Dokładnie! - potwierdził Jack.

- Ciotcia Lou myśli, że zamierzamy planować naukę - wyjaśniłem z zakłopotaniem.

- Tak jej powiedziałeś? - Oczy Jacka zwięzły się w szparki.

- Oczywiście, że nie! - Trochę się na niego zezłościłem. Wiedział przecież, że nie miałem w zwyczaju kłamać.

- Więc nic nie możesz poradzić na to, co jej przyszło do głowy. - Jack wzruszył ramionami.

- Chyba... chyba nie - zająknąłem się. - Mimo wszystko wołałbym, żeby tak nie myślała. Przez to będzie jeszcze trudniej zapytać ją o pozwolenie i tak dalej.

Jack stracił nieco pewności siebie.

- Miejmy nadzieję, że nie - powiedział. Widziałem, że rozumiał, iż moje obawy były słuszne.

Tym razem nie mogłem już pozbyć się tego nieprzyjemnego uczucia. Zawsze mówiłem cioci Lou prawdę i nie chciałem tego zmieniać, nawet jeśli miałoby mnie to kosztować wycieczkę do lasu.

Dołączył do nas zasapany od biegu Avery, a jego wyrzucone w bezdechu pytanie zwróciło moje myśli ponownie w kierunku planowanej wyprawy.

- Kto będzie gotował?

O czym on, u licha, mówi?

- Kto będzie gotował? - zapytał znowu, patrząc raz na mnie, raz na Jacka. - Musimy ustalić, kto będzie gotował albo nigdzie nie idziemy.

- Wszyscy będziemy gotować - odpowiedział Jack.

Avery nie wydawał się przekonany.

- Ja nie umiem gotować - oznajmił stanowczo, a po chwili dodał sceptycznym tonem - i założę się, że ty też nie.

- Nie bądź śmieszny! - zadrwił Jack. - Nie trzeba być kucharzem, żeby przyrządzić posiłek nad ogniskiem. Nadziewasz na patyk, wsadzasz do ognia i tyle.

- Próbowaleś kiedyś? - zapytał nieustępliwie Avery.

Jack spojrzał na niego twardym wzrokiem.

- To ty przecież tak paliłeś się do tej wycieczki. Czemu się teraz tak przejmujesz? Możesz zostać w domu, jeśli chcesz - powiedział sarkastycznie, na co Avery szybko zmienił taktykę.

- Moglibyśmy w zasadzie wziąć bochenek chleba i trochę sera - zaproponował bez entuzjazmu.

- Ja zamierzam jeść ryby - oznajmiłem bardziej optymistycznym tonem.

Avery nie przepadał za rybami ani łowieniem.

- Kto je upiecze? - zapytał.

Ja też zaczynałem już mieć dość jego pesymistycznej upartości.

- Ja, we własnej osobie!

- Robiłeś to już kiedyś?

Tu mnie miał. Do mnie należało złowienie ryb. Ich przyrządzaniem zajmowali się ciocia Lou, dziadek lub wujek Charlie. Ja sam nigdy żadnej nawet nie wypatroszyłem. Byłem jednak zdeterminowany, by spróbować. Każdy potrafiłby wypatroszyć i upiec rybę.

W tym momencie pojawił się Willie, który uratował mnie przed żmudnym zadaniem przekonywania Avery'ego.

Nasza czwórka usadowiła się na zielonym trawniku podwórza państwa Berry'ch, krzyżując nogi niczym Indianie. Ogłosiliśmy otwarcie spotkania w celu zaplanowania biwaku.

Ponieważ żaden z nas nigdy wcześniej na żadnym nie był, nie wiedzieliśmy, jak się za owo planowanie zabrać. Willie sięgnął do kieszeni swoich jeansów i wyciągnął z niej ogryzek ołówka wraz z kawałkiem złożonego papieru. Wszyscy go

pochwaliliśmy, że jest taki przewidujący, a potem spojrzeliśmy po sobie. Jack przejął dowodzenie.

- Na początku musimy ustalić, co będzie nam potrzebne - powiedział, a jego słowa w naszym mniemaniu zabrzmiały rozsądnie.

- Koce - zaczął, jak gdyby w oczekiwaniu na nasze przybycie, bardziej niż geometrią, zajmował się planowaniem biwaku.

- Tak - zgodził się Avery - noce są już dość zimne.

Willie nabazgrał słowo „koc” na jednej stronie kartki.

- Jedzenie - kontynuował Jack, na co Avery energicznie pokręcił głową.

- Jedzenie to pojęcie zbyt ogólne. Musimy ustalić, co dokładnie - zauważył Willie, czekając z ołówkiem zawieszonym w gotowości nad kartką.

Żaden z nas nigdy wcześniej nie przygotowywał posiłków.

- Chleb - rzucił Avery.

Ołówek Willie'go zaskrzypiał po raz kolejny.

- Ser - wyliczał dalej Avery.

- Chleb i ser! Zwariowałaś? Nie przeżyję kilku dni o samym chlebie z serem - sprzeciwił się Jack.

- W takim razie sam coś wymyśl! - odciął się Avery. - Nie słyszałem jeszcze od ciebie żadnych genialnych propozycji.

Willie wtrącił się, żeby powstrzymać kłótnię między Jackiem i Avery'm. Tych dwóch nigdy za specjalnie dobrze się nie dogadywało.

- Zapisalem chleb i ser. Czego jeszcze potrzebujemy?

- Trochę masła, mąki, soli i pieprzu, żeby usmażyć rybę - dodałem tonem znawcy. Wiele razy obserwowałem, jak ciocia

Lou miesza składniki i kładzie obsypaną mąką rybę na rozgrzanym maśle, a jej dania smakowały przecież świetnie.

- A jeśli nie złapiemy w ogóle żadnych ryb? - zapytał Jack tonem mądrali.

- Wtedy będziesz jeść ten chleb z serem - odparowałem.

- Potrzebujemy czegoś do smażenia – patelni, i jakiegoś czajnika - wciął się Willie, żeby zapanować nad sytuacją.

- Zapałki! - wykrzyknął Avery w przyływie inspiracji.

Wszyscy spojrzeliśmy na niego z aprobatą. Zapałki na biwaku bez wątpienia się przydadzą.

Nasza lista powstawała dalej, aż musieliśmy użyć drugą stronę kartki, i zanim się obejrzeliśmy, pani Barry wołała Jacka na kolację. Reszta doszła więc do wniosku, że pora także i na nas.

Ja i Avery pędem opuściliśmy podwórze Jacka. Willie potruchtał w przeciwnym kierunku. Ciężko było biec i rozmawiać jednocześnie, więc niewiele się odzywaliśmy.

- Kiedy się zapytasz? - wysapał Avery.

- Jeszcze nie wiem - odparłem zdyszany.

- A kogo? - dopytywał Avery.

Pokręciłem głową.

- Jeszcze nie jestem pewien - przyznałem.

Prawda była taka, że dalej nie wiedziałem, kto z moich krewnych będzie w tej kwestii moim największym sprzymierzeńcem. Będę musiał wyczuć sytuację.

- Cóż, nie mamy za dużo czasu - powiedział Avery, dysząc ciężko. - Rada szkoły załatwi pewnie jakiegoś nauczyciela z nim zdążymy się nacieszyć przerwą.

Po takiej długiej przemowie Avery zaczął oddychać jeszcze ciężiej. Wiedziałem, że miał rację, ale nie podobało mi się, że tak na mnie naciskał.

- Zapytam - oznajmiłem stanowczo - nic się nie martw.

Rozstaliśmy się na końcu Cottonwood Street i pobiegliśmy w przeciwnych kierunkach. Biegając spojrzałem w górę na niebo. Nie chciałem spóźnić się na kolację, bo chociaż ciocia Lou raczej nie byłaby na mnie zła, to spóźnienie z pewnością zaszkodziłoby mojej sprawie.

Skręciłem w ścieżkę prowadzącą obok plebanii prosto na podwórze za domem dokładnie w momencie, kiedy wujek Nat zdejmował uprząż z Dobbina. Zatrzymałem się obok niego, z trudem łapiąc oddech.

- Hej! Powoli - powiedział Nat. - Skąd wracasz w takim pośpiechu?

Odczekałem chwilę, by móc spokojnie się odezwać.

- Byliśmy u Jacka, chociaż zostaliśmy chyba trochę dłużej, niż zamierzałem - odparłem. - Martwiłem się, że spóźniłem się na kolację.

- Cóż, ja tak samo - przyznał Nat, ale nie wydawał się przejęty. - Pani Mirandzie znowu się pogorszyło.

- Jak ona się teraz czuje? - zapytałem.

- Wygląda na to, że już dobrze.

Wujek Nat chyba co najmniej raz w tygodniu był wzywany do Willisów, żeby się pomodlić za „odchodzącą panią Mirandę”, jak nazywano babcię Willis. Nigdy nie potrzebowała tej ostatniej modlitwy, ale - jak stwierdziłem - któregoś dnia w końcu będzie jej potrzebować, i kto wie, kiedy ten dzień nastąpi?

Wziąłem lejce zwisające z uzdy Dobbina. Poczekiałem, aż wujek Nat zdejmie z niego siodło, a następnie poprowadziłem konia do małej obory, do boksu, który na niego czekał.

Choć Dobbin miał za sobą dziesięciomilową podróż do Willisów i z powrotem, to jego krok pozostawał sprężysty. Jak zawsze, wzbudzał we mnie podziw. Dziadzio kupił go dla wujka Nata i ciotki Lou razem z małym, eleganckim, przeznaczonym na jednego konia powozem. Kiedy jednak wujek Nat wyjeżdżał gdzieś sam, zazwyczaj zabierał tylko konia, bez zaprzęgnięcia całego powozu. Tak było szybciej i lżej dla zwierzęcia.

W boksie zdjąłem uzdę Dobbina i zamieniłem na kantar. Wujek Nat sięgnął po zgrzebło i szczotkę, żeby szybko przeczesać konia. Nie czekając, aż mnie o to poprosi, podszedłem do żłobu i nabiłem na widły wystarczająco siana na kolację dla Dobbina. Potem odmierzyłem mu paszę. Robiłem to już wiele razy, więc wiedziałem dokładnie, ile potrzebował.

- Słyszałem, że zostaliście bez nauczyciela - odezwał się wujek Nat, gdy pracowaliśmy ramię w ramię.

- Tak - odparłem bez większych emocji.

Nat się uśmiechnął.

- W twoim wieku pewnie cieszyłbym się wolnym czasem i planował, co z nim zrobić.

Nie odpowiedziałem.

- To dla ciebie coś nowego - kontynuował wujek Nat, rozmyślając. - Nie chodzić do szkoły w porze roku, kiedy nie ma zbyt dużo roboty na farmie. Jak zamierzasz wypełnić te długie, nudne dni?

Wiedziałem, że trochę sobie ze mnie żartował, ale dostrzegłem też w tym szansę, by wspomnieć o planach, które przygotowywaliśmy.

- Cóż - powiedziałem w jak najbardziej swobodny sposób - rozmawialiśmy o tym z chłopakami. Pomyśleliśmy, że może to dobry czas, by wybrać się w górę szlaku i urządzić biwak.

Przeniosłem wzrok z Dobbina, który pałaszował swój owies, na wujka Nata. Dłoń szcztokująca konia nie zatrzymała się ani na chwilę.

- Biwak? Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek wspominał o biwaku.

- Nie, nie wspominałem - zgodziłem się prędko. - Zawsze podczas dobrej pogody trzeba było zająć się żniwami albo ogrodem. Ale, jak sam powiedziałeś, tej jesieni cała praca już za nami. No i prawda jest taka - kończyłem w pośpiechu - że sam nigdy wcześniej na to nie wpadłem.

Uznałem, że muszę być całkowicie szczerzy z wujkiem Natem.

Nat tylko skinął głową.

- Pomyśleliśmy, że to może być dobry moment – przekonywałem go dalej.

Potem się zreflektowałem. Nie chciałem wydać się zbyt chętny i nachalny.

- Kto bierze udział w tych planach? - zapytał wujek Nat.

- Avery, Willie, Jack, i ze mną.

Wujek Nat uśmiechnął się łagodnym, żartobliwym uśmiechem.

- Kiedy będziesz dyktował tę listę osób cioci Lou, radzę ci, żebyś powiedział: Avery, Willie, Jack i ja.

Zwiesiłem głowę. Zdarzało się, że dorośli poprawiali moje błędy gramatyczne. A zwłaszcza ciocia Lou.

- Dokąd się wybieracie? - zapytał następnie wujek Nat.

Serce stanęło mi na moment. Powiedział: „Dokąd się wybieracie?“, jakby wszystko było już ustalone.

- Pomyśleliśmy, żeby pójść w górę rzeki, na wzgórze, gdzie strumień ma swoje źródło - odparłem próbując, by zabrzmiało to tak, jak gdyby nasze plany były dokładnie przeanalizowane i ustalone. - Tak przynajmniej teraz wpadło mi do głowy - pospieszyłem z wyjaśnieniem, bo jednak nie chciałem ustawać w dążeniu do mówienia prawdy - ale chłopcy nie powinni mieć nic przeciwko.

Wujek Nat przytaknął.

Potem odwrócił się, powiesił zgrzebło i szczotkę na haku na ścianie, obdarzył Dubbina jeszcze jednym solidnym klepieniem, i skinięciem głowy dał mi znak, żebyśmy zbierali się na kolację.

Ruszyłem za nim z lekkim wahaniem. Nie byłem pewien, czy tę rundę wygrałem, czy raczej w niej poległem. Czy wujek Nat rozumiał, jak bardzo chłopcu potrzebna jest taka samodzielna wyprawa? Czy mogłem liczyć na jego wsparcie, kiedy będę próbował przekonać resztę rodziny?

Gdy byliśmy już prawie przy domu, wyciągnął dłoń i położył ją na moim ramieniu.

- Myślę, że to świetny pomysł - skomentował. - Gdybym

nie miał w tym tygodniu tak wielu obowiązków w kościele, samemu kusiłoby mnie, żeby do was dołączyć.

Wypuściłem powietrze ze świstem. Wujek Nat był po mojej stronie! To już był jakiś plus. Po raz pierwszy zacząłem mieć nadzieję, że nasz plan rzeczywiście się uda.



Rozdział 3

Drobna pomoc

NASTĘPNEGO PORANKA PRZEZ CAŁĄ DROGĘ na wieś czułem, jak wszystko się we mnie skręca. Nie wiem, dlaczego byłem aż tak zdenerwowany. Najwyraźniej zależało mi na tej wycieczce bardziej niż sądziłem. Aż do wczoraj, gdy Avery wyszedł ze swoją propozycją, nie myślałem nawet o biwaku, dlatego teraz byłem strasznie przejęty. W tamtym momencie nie zastanawiało mnie jeszcze, dlaczego akurat Avery wpadł na taki pomysł. Nigdy za specjalnie nie przepadał za przebywaniem na zewnątrz. Nie lubił nawet łowienia ryb, a tu nagle wyskakuje z takim marzeniem. Ale, jak już powiedziałem, o tej kwestii pomyślałem dopiero dużo później.

W tamtej chwili byłem zbyt zajęty myśleniem o sobie. Marzyłem o tej wycieczce bardziej niż o czymkolwiek innym na świecie. Nie wiem, czy w całym życiu chciałem czegoś tak mocno, jak tego. No, może z wyjątkiem psa. Albo kiedy

chciałem, żeby ciocia Lou została z nami, a nie wychodziła za jakiegoś miejscowego chłopaka, który nie potrafiłby w pełni docenić tego, co mu się trafiło.

Ostatecznie dostałem swojego psa. Dziadzio o to zadbał. Kiedy brałem Pixie na ręce, zawsze mocno ją ścisnąłem, głaszcząc delikatną sierść pod jej podbródkiem, a ona wierciła się, próbując uciec. Bardzo lubiła się przytulać, ale nie aż tak mocno.

A jeśli chodzi o zamążpójście cioci Lou, to kiedy już do niego doszło, całkowicie popierałem jej wybór. Sam czułem, że jesteśmy blisko z wujkiem Natem. Miałem nawet nadzieję, że wstawi się za mną, gdy będę przedstawiał swoją prośbę trzem mężczyznom na farmie.

Skręciliśmy w ścieżkę wiodącą do naszego domu, a ja odniosłem wrażenie, że mój brzuch również zaczął się skręcać. Niedługo miałem poznać odpowiedź na dręczące mnie pytanie.

Dziadek powitał nas przy bramie. Uśmiechnął się od ucha do ucha i przytulił ciocię Lou na powitanie. Lou odwzajemniła uścisk i pocałowała spracowany policzek dziadka, mimo że jej ręce - jak zawsze, kiedy przyjeżdżała na wieś - wypełnione były mnóstwem wypieków. Potem dziadek mocno uściśniął dłoń Nata i wreszcie zwrócił się do mnie.

- Słyszałem, że nie macie teraz nauczyciela, co chłopcze? - zapytał.

Ciągle mówił do mnie „chłopcze”, chociaż według mnie byłem już za duży, żeby mnie tak nazywać. Nie przeszkadzało mi jednak, jeśli to dziadek się tak do mnie zwracał.

Skinąłem głową.

- Dotarły do nas wieści o nagłym wyjeździe nauczycielki - powiedział dziadek do wujka Nata. - Sam planowałem dziś rano odebrać od was Josha. Mam nadzieję, że nie jechaliście specjalnie po to, żeby go przywieźć.

Wujek Nat tylko się uśmiechnął.

- Lou i tak chciała was odwiedzić. A ja miałem akurat trochę wolnego czasu. W drodze powrotnej do miasta planujemy jeszcze wstąpić do Curtisów, żeby zobaczyć nowo narodzone dziecko.

Na ganku przywitał nas dziadzio, który poklepał mnie po ramieniu i przytulił ciocię Lou. Słyszałem, jak wujek Charlie zmywa naczynia w kuchni. Musiała być jego kolej sprzątania po śniadaniu. Wyszedł na zewnątrz, w jednej ręce trzymając ścierkę, a w drugiej garnek.

Po wymienieniu pozdrowień, Lou odłożyła wypieki i zaczęła parzyć kawę. Nieważne, ile czasu mijało pomiędzy jej wizytami, kuchnia za każdym razem na nowo stawiała się jej królestwem.

Wszyscy usadowiliśmy się wygodnie.

- Więc o co chodzi z tym zamknięciem szkoły, Joshua? - zapytał dziadzio. Był bardzo zainteresowany moją edukacją - w końcu pochodził z dużego miasta. Rozmowa zwróciła się ku tematowi szkoły i konieczności zatrudnienia nowego nauczyciela po tym, jak panna Williams postanowiła wyjechać, by poślubić swoją wieloletnią miłość.

- Orientujesz się może, ile trzeba będzie czekać na rozpoczęcie zajęć? - dopytywał dalej dziadzio.

Na szczęście skierował to pytanie do wujka Nata, nie do mnie, więc pozwoliłem mu odpowiedzieć.

- Rada szkoły już nad tym pracuje - zapewnił go wujek Nat.
- Mają nadzieję, że nowy nauczyciel pojawi się w klasie w przeciągu tygodnia.

Dziadzio odchrząknął.

- To nie czas mnie martwi - oznajmił - ale jakość zastępstwa.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę dziadzia.

- To znaczy? - chciał wiedzieć dziadek.

- Cóż, nie chciałbym szukać dziury w całym, ale moim zdaniem nauczyciele, którzy są cokolwiek warci, otrzymali już pewnie w tym roku posadę.

Nie pomyślałem o tym wcześniej i podejrzewałem, że pozostałym również nie przyszło to do głowy, bo zobaczyłem, jak na ich twarzach pojawił się wyraz zmartwienia.

- Będziemy musieli się modlić - zadecydowała ciocia Lou.
- Jeśli z nauczycielem, którego znajdują, będzie coś nie tak, to poprosimy Pana, by go zmienił.

Wstała, by dorzucić drzewo do ognia, uznając sprawę za załatwioną.

- Miło będzie cię mieć w domu na trochę dłużej, chłopcze - odezwał się do mnie dziadek.

- Może pójdziemy na ryby - dorzucił dziadzio, a jego oczy rozbliły.

Skinąłem głową.

- Podoba mi się ten pomysł - powiedziałem szczerze.

- Poza tym, Josh ma poważne plany - wtrącił Nat powoli,

ze wzrokiem skierowanym na moją twarz, jak gdyby próbując wyczytać, czy chcę, aby poruszył ten temat.

Delikatnie przytaknąłem, dając mu znać, by kontynuował. Zrozumiał i odchrząknął, ponownie skupiając na sobie uwagę pozostałych.

- Jego pomysł całkiem mi się podoba - mówił dalej. Odczekał chwilę, by upewnić się, że wszyscy czekają, aż przedstawi mój plan.

- Josh i jego koledzy wymyślili, że to byłby dobry czas, aby wybrać się na wycieczkę wzdłuż rzeki i spędzić kilka dni na biwaku nad źródłem, z którego wychodzi.

Wujek Nat nie czekał na czyjkolwiek komentarz, tylko kontynuował.

- Wydaje mi się, że chłopcom przydałoby się takie doświadczenie. Jesienią zwykle spędzają czas przy pracach na gospodarstwie, więc nie mieli wcześniej okazji wyruszyć na taką wycieczkę. Tym razem jest inaczej. Pogoda utrzymuje się dalej, choć wszelkie prace zostały już dawno skończone. To dobry moment, żeby chłopcy wybrali się na biwak.

Wujek Nat przerwał, a wszystkie oczy w pokoju zwróciły się z powrotem na mnie.

Nim ktokolwiek zdążył się odezwać, ciocia Lou pobiegła do kuchenki, bo kawa zaczęła kipieć. Spojrzenia zgromadzonych przeniosły się z mojej twarzy na Lou, a ja w ciszy podziękowałem za gotującą się kawę, wierząc się niespokojnie na krześle.

Ciocia Lou wypełniła kubki mężczyzn i zaczęła kroić ciasto cytrynowe, które przywiozła.

Omawianie moich planów wydawało się o wiele łatwiejsze przy cieście i kawie, lub wypełnionym po brzegi kubku świeżego, zimnego mleka od Bossie.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że lubisz biwakować - powiedział dziadek.

- Cóż, wcześniej nawet nie myślałem o tego typu wycieczkach. Nigdy nie było na nie czasu, więc nie przyszło mi to w ogóle do głowy. To Avery wpadł na taki pomysł - przyznałem szczerze. - Jak powiedział wujek Nat, podczas dobrej pogody zawsze jesteśmy za bardzo zajęci pracą.

Dziadek skinął głową.

- Kto wybiera się na tę wycieczkę? - zapytał.

- Avery, Willie i Jack - odparłem.

- Miałem na myśli kogoś z dorosłych - wytłumaczył dziadek.

Zawahałem się. Nie wiedziałem, jak odpowiedzieć. Nie chciałem być niegrzeczny czy zarozumiały, ale jednak jakoś dać mu do zrozumienia, że chłopcy w wieku piętnastu lat nie potrzebują już opieki dorosłych.

- No... my... - zacząłem, ale przerwał mi dziadzio.

- Wydaje mi się, że chłopiec, który potrafi nabijać snopki zboża na widły i nadążać z ładowaniem ziarna do młocarni jak prawdziwy mężczyzna, umie też o siebie zadbać - zauważył rzeczowo, a jego oczy rozbłyły.

Wyraz największego niepokoju malował się na twarzy cioci Lou, chociaż dziadek również nie wyglądał na przekonanego.

- Gdzie będziecie jeść? - zapytała ciocia Lou.

- Na świeżym powietrzu - odparłem. - Weźmiemy ze sobą jedzenie i przyrzadzimy nad ogniskiem.

Ciocia Lou znów chciała coś powiedzieć, ale zobaczyłem, jak wujek Nat dyskretnie przykrywa jej dłoń swoją. Nikt inny tego nie zauważył. Ciocia Lou powoli zamknęła usta i mocno ścisnęła rękę Nata.

- Co o tym myślisz? - Dziadek zaskoczył mnie, kierując swoje pytanie do wujka Charliego.

Wujek Charlie wziął długi łyk gorącej kawy i przechylił się do przodu, by jego krzesło opadło przednimi nogami na podłogę.

- Nie widzę problemu - odezwał się bez wahania w głosie.

Wtedy wiedziałem już, że wygrałem. Chciałem krzyknąć z radości, ale się nie ważyłem.

- Pomogę ci z jedzeniem, Josh - zaferowała ciocia Lou, zerkając na wujka Nata, by sprawdzić, czy nie uzna tego za wtrącanie się. Jej policzki oblały się delikatnym rumieńcem. - Oczywiście, jeśli chcesz - dodała szybko.

- Byłoby miło - zapewniłem ją naprędce. - Chłopacy i ja nie wiedzieliśmy, co ze sobą zabrać, bo żaden z nas nigdy wcześniej nie był na biwaku. No i nie mamy zbyt wielkiego doświadczenia w gotowaniu.

- Chłopcy - poprawiła mnie ciocia Lou, ale uśmiech na jej twarzy sprawił, że upomnienie zabrzmiało łagodnie.

Wydawało się, że wszystko zostało ustalone. Co prawda dziadek nie powiedział, że się zgadza, ale też nie zabronił mi iść na ten biwak. W trakcie dalszej rozmowy ustaliliśmy, że możemy poświęcić jeden dzień na wędrowkę w górę rzeki, potem spędzić trzy noce na biwaku przy źródółku. A czwartego dnia powrót do domu. Zanim się obejrzałem, już pięcioro

ludzi przy stole było zajętych planowaniem, co powinienem zabrać na wycieczkę. Patrząc na to, jak prędko ich lista się wydłużała, zaczynałem myśleć, że do udźwignięcia tego wszystkiego będę potrzebował powozu.

No nic! Wiedziałem, że chcieli dobrze. Zamierzałem dać im chwilę, a potem zweryfikować to, co wymyślili. Wcześniej jednak musiałem dać znać chłopakom, że dostałem pozwolenie. Musieliśmy się spieszyć, żeby zdążyć przed przybyciem nowego nauczyciela.



Rozdział 4

Biwak

DWA DNI PÓŹNIEJ ruszyliśmy z plecakami wzdłuż szlaku prowadzącego do strumienia. Zastanawiałem się, kto z nas jest najbardziej podekscytowany.

Jak się okazało, Jack nie mógł z nami iść. Wszyscy mu współczuliśmy, że ojciec go nie puścił. Jeśli Jack chce się dobrze przygotować do studiów w szkole medycznej, musi zostać w domu i siedzieć nad książkami. Jack miał już tego wszystkiego dość i mnie również robiło się słabo na myśl o tym, jak bym się czuł, gdybym sam nie mógł iść.

Tak więc Avery, Willie i ja, otrzymawszy pomoc i wiele rad od naszych bliskich, spakowaliśmy sprzęt i ruszyliśmy ocienioną drzewami ścieżką w stronę źródła. Poza tym, że Jack został w domu, żałowałem jeszcze jednej rzeczy - tego, że nie mogłem wziąć ze sobą Pixie. Po rozmowie w domu doszedłem do wniosku, że biwak nie jest najbezpieczniejszym miejscem

dla takiego małego pieska. Wiedziałem też, że Pixie nie byłaby w stanie przejść tak dużych odległości, a ja nie mógłbym jej nosić, bo będę miał ciężki plecak, no i potrzebuję wolnych rąk.

Zanim zniknęliśmy z pola widzenia roztaczającego się z naszego podwórka, raz jeszcze obróciłem się do tyłu i pomachałem. Dziadek, wujek Charlie i dziadzio, a nawet wujek Nat i ciocia Lou - która przyjechała specjalnie, żeby nie ominęło jej to ważne wydarzenie – stali i patrzyli jak odchodzimy. Wiedziałem nawet, że ciocia Lou wydmuchuje nos w swoją białą chusteczkę. Można by było pomyśleć, że wyruszamy na wojnę czy coś. Wyglądali na wesołych i smutnych zarazem – cieszyli się, że spełniamy nasze marzenie, z lekkim niepokojem, że może nam się stać coś złego, a do tego wszystkiego przygnębił tym, że tak szybko dorastamy.

Naszej trójce natomiast daleko było do smutku. Ruszyliśmy zwawym krokiem, nie mogąc doczekać się, aż wreszcie znikniemy dorosłym z oczu i pocujemy, że teraz to naprawdę jesteście zdani na siebie.

Wraz z upływem kolejnych godzin nasz krok stawał się jednak coraz mniej sprężysty. Plecaki zaczynały nam ciążyć, a słońce przypiekać. Zstąpiwszy z wydeptanej przez krowy ścieżki, mieliśmy też coraz większy problem z podążaniem naprzód. Krzaki wierzb zarastały brzeg rzeki, więc przez cały czas musieliśmy się przez nie przebijać. Nie chcieliśmy oddalać się od brzegu, żeby strumień nie zginął nam wśród drzew, w związku z czym dalej przedzieraliśmy się przez zarośla i chaszczce.

Chyba wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, gdy zobaczyliśmy, że roślinność zaczyna się powoli przerzedzać, a rzeka zaprowadziła nas przez zarośla na pastwisko Turley'ów. Teraz wędrówka będzie dużo łatwiejsza.

Kiedy tylko przeszliśmy przez ogrodzenie i mieliśmy wejść na ścieżkę, Avery wydał z siebie głośny jęk, przystanął i oparł się o najbliższy słupek.

- Pora na przerwę - oznajmił. Mimo że Williemu i mnie się spieszyło, by ruszać dalej, też chyba byliśmy trochę zmęczeni.

- Odpocznijmy, jak przejdziemy przez pastwisko - zarządził Willie, lecz Avery ani drgnął.

- Chcę odpocząć teraz - poinformował, a my wiedzieliśmy, że kłócenie się z nim byłoby stratą czasu. Avery zdjął z ramion ciężki plecak i usiadł na ziemi, opierając się o niego plecami. W głębi duszy zastanawiałem się, w jaki sposób zamierza dotrzeć aż do źródła rzeki, skoro już teraz miał dość, ale nie powiedziałem tego na głos. Tak naprawdę sam nie miałem nic przeciwko chwili odpoczynku.

Nie minęło zbyt wiele czasu, odkąd ciocia Lou napasała nas bekonem, jajkami i smażonymi ziemniakami, ale wydawało się, że Avery zupełnie już o tym zapomniał. Sięgnął do swojego plecaka i wyciągnął garść ciasteczek cioci Lou. Nie chcieliśmy z Williem, żeby zjadł je bez nas, więc również wzięliśmy po kilka. Odpoczynek, ciasteczka i woda ze strumienia od razu nas orzeźwiły i po kilku minutach zaczynałem już robić się niecierpliwym. Wiedziałem, że Willie również chce iść dalej, tak więc zaproponowałem, byśmy już ruszali. Zgodnie

z moimi obliczeniami, przeszliśmy dopiero kilka mil i ciągle został nam dobry kawałek drogi.

Avery raczej niechętnie podniósł swój ciężki plecak i poprawił jego szelki. Ja i Willie również wzięliśmy swoje plecaki, po czym wszyscy ruszyliśmy dalej. Ja szedłem na przedzie, gdyż znałem ten teren najlepiej. Wędrówka rzeczywiście sprawiała nam teraz o wiele mniej trudności. Nie było tu już gęstych zarośli, a do tego pastwisko, szczególnie blisko rzeki, zostało ogołoczone przez bydło, dzięki czemu nawet trawa była krótka i przyjemna.

Bydło Turley'ów pasło się nieopodal, ale poza rzuceniem kilku komentarzy na temat tego, jakie te ich krowy ładne i grube, a ich czerwone boki jakie okrągłe, nie zwracaliśmy na nie większej uwagi.

Byliśmy już prawie na drugim końcu pastwiska, kiedy nagle dobiegł nas przeraźliwy dźwięk. Brzmiał jak pęd dzikich zwierząt, a do tego zmierzających w naszą stronę!

Wszyscy się odwróciliśmy oczekując, że zobaczymy całą gromadę biegnącego w naszym kierunku bydła.

Nie było to jednak całe stado, choć równie dobrze mogłoby być, bo oto prosto ku nam pędził wielki czerwony byk Turley'ów. Głowę miał pochyloną niemal do ziemi, a jego rozszerzone nozdrza gniewnie wypuszczały powietrze, aż wzbijały się od tego małe kłęбки pyłu. Jeśli zastanawialiście się kiedyś, jak wygląda prawdziwy pośpiech, to trzeba było nas wtedy zobaczyć. Od razu zapomnieliśmy o naszych ciężkich plecakach i zmęczeniu. Zwiewaliśmy w stronę najbliższego ogrodzenia co sił w nogach.

Chyba dotarłem do celu jako pierwszy. Nawet nie zwoleń-
łem, tylko padłem na ziemię i przeturlałem się pod drutem
kolczastym, nie zdejmując z siebie plecaka. Nagle usłyszałem
dźwięk rozdieranej tkaniny. Domyśliłem się, że rozdarło się
grube płótno, w które ciocia Lou starannie owinęła mój ple-
cak. Było mi z tego powodu przykro, ale też strasznie się cieszy-
łem, że jestem już po drugiej stronie ogrodzenia, z dala od byka.

Za chwilę pod ogrodzeniem przemknął Willie i wpadł
prosto na mnie. Dopiero wtedy obaj odwróciliśmy się, by zo-
baczyć, co z Averym.

Ależ byliśmy przerażeni! Avery zmierzał ku ogrodzeniu
najprędzej, jak tylko mógł, ale nigdy nie był zbyt wysporto-
wany, a byk wydawał się do niego przybliżać z każdym kolej-
nym krokiem.

-Zostaw plecak! - krzyknąłem bez zastanowienia. Gdybym
pomyślał, pewnie wpadłbym na to, że Avery będzie potrzebo-
wał więcej czasu, żeby uwolnić się od plecaka, niż mógłby za-
oszczędzić biegnąc bez niego.

W jakiś sposób zdołał go zdjąć i rzucić na ziemię, nie prze-
stając przy tym biec. Może by i było już po nim, gdyby nie to,
że byk niespodziewanie zwrócił uwagę na plecak. Zostawił
Avery'ego i stanął w miejscu, parszkając i grzebiąc kopytem,
po czym zaatakował porzucony na ziemi pakunek. Zadał mu
potężny cios, ale nie zadowolił się tym. Nabił plecak na rogi
i tarnosił, a potem podniósł go rogiem i wyrzucił w powie-
trze. Gdy plecak spadł na ziemię, podeptał go kopytami, po
czym jeszcze raz wyrzucił do góry, sapiąc, parszkając i wydając
z siebie przerażające dźwięki.

W międzyczasie dyszący i bladej jak ściana Avery przeczołgał się pod ogrodzeniem do mnie i Williego. Ja sam chyba też nieco zbladłem. Szczególnie, kiedy zobaczyłem, co byk zrobił z plecakiem porzuconym przez Avery'ego. Nieprzyjemnie było patrzeć, jak bestia szarpie i depcze ten plecak, ale bez wątpienia cieszyłem się, że na jej miejscu nie był Avery.

Leżeliśmy przez chwilę na ziemi, próbując dojść do siebie i uspokoić oddech. Na początku wszyscy cieszyliśmy się chyba po prostu, że wyszliśmy z tego żywi. Dopiero potem zaczęliśmy się martwić o nasze zapasy.

Podzieliłiśmy zaopatrzenie tak równo, jak się dało. Ja wziąłem swój koc do spania, wszelkie garnki i patelnie, naczynia, sztucce oraz sprzęt do łowienia. Willie zabrał swój koc, siekierkę do cięcia drzewa, zapalki, apteczkę i trochę jedzenia. Avery miał swoje posłanie i większość pożywienia. Leżeliśmy więc z wybałuszonymi oczami i uczuciem mdłości, obserwując, jak byk dokonuje totalnego zniszczenia.

- Robi jajecznicę - wyszeptał Willie, pomimo naszego nieciekawego położenia. z błyskiem rozbawienia w oczach.

- Ciii... - syknął Avery ze wzrokiem utkwionym w byka. – Bo jeszcze go rozżłosisz.

- Jak, rozżłości? - Teraz przyszła kolej na mój szept. – Ten byk już jest przecież wystarczająco wściekły.

- No to rozżłości go jeszcze bardziej - odpowiedział Avery.

- Nie wyobrażam sobie, że mógłby być jeszcze bardziej rozżłoszczony - nalegałem. - Popatrz jak wszystko rozszarpuje.

Nic nie mogliśmy zrobić. Leżeliśmy więc tylko na brzuchach, obserwując poczynania byka, aż wreszcie zwierzę

zdecydowało, że narobiło już dość szkód. Byk skończył męczyć plecak i podszedł do ogrodzenia, by łypnąć na nas okiem, cały czas parszkając i kipiąc ze złości. Chcieliśmy uciekać, ale karłowate krzewy z tyłu nie zapewniłyby nam zbyt dobrej kryjówki przed bestią. Kazałem chłopakom leżeć bez ruchu, żeby jeszcze bardziej nie rozjuszyli byka. Wstrzymaliśmy oddech i czekaliśmy. Mieliśmy ogromną nadzieję, że wściekły byk nie spróbuje staranować owiniętego kolczastym drutem ogrodzenia, które go od nas oddzielało.

Stanie w miejscu i prychnie wreszcie go znudziło, więc odwrócił się i ruszył w stronę krów, choć nie przestawał ryczeć i sapać. Nie odszedł jednak za daleko i co jakiś czas zawracał w naszym kierunku, parszkając na nas, by przypomnieć, że wie, gdzie jesteście.

Nie mogliśmy iść dalej. Nie bez plecaka Avery'ego - albo przynajmniej tego, co z niego zostało. Mieliśmy nadzieję, że przetrwało chociaż to jedzenie, które ciocia Lou zapakowała do puszek, dzięki czemu udałoby nam się odratować tyle, żeby wystarczyło na następne trzy dni.

Nie było mowy, żebyśmy wrócili na pastwisko, kiedy byk stał nieopodal, co chwila na nas prychnając, a więc postanowiliśmy odejść kawałek od ogrodzenia i poczekać.

Średni był z tego biwak. Słońce wspięło się już wysoko i zrobiło się jeszcze bardziej gorąco, a w pobliżu nie było choćby odrobiny cienia. Podniosłem plecak tak wysoko, jak mogłem, usiłując ochronić twarz przed palącymi promieniami.

Gdy słońce przesunęło się na zachód, zrobiliśmy się już okropnie głodni i przagnieni.

- Ale cokolwiek do jedzenia nam chyba zostało, prawda? - zapytał Williego.

Przerzucił plecak przed siebie, żeby móc do niego zajrzeć. Był bardzo starannie i ciasno zapakowany, więc nie dało się odnaleźć jedzenia, nie robiąc w nim bałaganu. Bo mieliśmy się rozpakować dopiero po dotarciu na miejsce postoju.

Willie znalazł w końcu bochenek chleba, a ja wyciągnąłem nóż. Pokroiliśmy chleb w grube, krzywe kromki, które rozdzieliliśmy między sobą. Nie mieliśmy nawet tego sera, z którego tak sobie żartowaliśmy.

Popołudniu zrobiło się już naprawdę upalnie. Parę razy musiałem przemieszczać się by wciąż znajdować się w cieniu. Co jakiś czas chyba też przysypiałem. Tak samo zresztą jak Willie i Avery.

Gdy się obudziłem i usiadłem, zobaczyłem, że byk znowu powrócił do plecaka. Miałem nadzieję, że do tej pory pójdzie już za krowami do dalszej części pastwiska. Tak się jednak nie stało. Ciągle dyszał i parskał, ale nie próbował już zniszczyć pakunku.

- Nie dotrzemy na miejsce przed zapadnięciem zmroku - narzekał Avery.

- Mam tylko nadzieję, że zostawił nam coś do jedzenia - rzucił Willie. - Jeśli będzie taka konieczność, rozbijemy obóz tutaj i ruszymy rano, ale ta noc nie będzie przyjemna jeśli nie zjemy na kolację czegoś więcej niż ten chleb - zauważył Willie.

Zgadzałem się z nim.

Traciliśmy już wiarę w to, że ten byk kiedykolwiek sobie pójdzie, gdy wreszcie krowy uznały, iż najwyższa pora udać się

do obory na dojenie. Byk popatrzył na nas, parsknął raz jeszcze i poszedł za nimi.

Odczekaliśmy, aż znajdzie się naprawdę daleko od nas, zanim odważyliśmy się choćby ruszyć w stronę ogrodzenia. Nawet potem Avery nie chciał pod nim przechodzić. Najadł się wcześniej zbyt wiele strachu.

To ja zdecydowałem się iść po plecak. Chwilę zajęło mi zebranie wszystkich rzeczy z ziemi, ułożenie i zawinięcie ich w taki sposób, żeby można było je jakoś donieść na drugą stronę ogrodzenia.

Koc Avery'ego miał parę dziur i był cały w błocie, ale poza tym jeszcze się nadawał. Z jedzeniem sprawa wyglądała inaczej. Wszystkie puszki były wgniecione, a wieczka niektórych z nich otwarte. Piach i wyschnięta trawa wymieszały się z ich zawartością. Z całego tuzina jajek tylko jedno nie zostało rozniecione, i wszyscy trzej zastanawialiśmy się, jak to się stało, że uniknęło losu pozostałych jedenastu.

Kilka rzeczy ciągle nadawało się jednak do jedzenia. Stwierdziliśmy, że wystarczy przynajmniej na kolację. Byliśmy już dość głodni, dlatego zajęliśmy się przyrządzeniem jakiegoś posiłku. Zdmuchnąwszy liście i trochę piachu z kukurydzianego chleba cioci Lou, posmarowaliśmy go masłem i zjedliśmy z odrobiną suszonej wołowiny, którą dał nam dziadek. Robiło się już ciemno - co nie powinno dziwić, zważywszy na to, że była późna jesień - i wiedzieliśmy, że musimy zostać tu na noc.

Nie mieliśmy żadnego zadaszenia, pod którym można by było rozłożyć koce, więc zadowoliliśmy się biwakiem pod gołym niebem.

- Jejku, ale jestem zmęczony - westchnął Avery. Ja również byłem, chociaż nie bardzo rozumiałem *dłaczego*. Przeszliśmy zaledwie kilka mil, a resztę dnia spędziliśmy drzemiąc na słońcu.

- Musimy wstać wcześniej rano i dostać się na miejsce - zarządził Willie. - Nie możemy stracić ani jednego dnia więcej.

Avery zdjął buty i zaczął ściągać spodnie.

- Co ty wyrabiasz? - zapytał Willie. - Nikt się nie rozbiera podczas biwaku.

Avery wzruszył ramionami, włożył spodnie z powrotem i wpełzł pod zakurzony koc.

Nim nastało rano, wszyscy cieszyliśmy się, że zostawiliśmy na sobie ubrania. Pomimo przykrycia, pod gołym niebem było bardzo zimno. Trawę dookoła nas przykryła warstwa przymrozku, a ja zacząłem się zastanawiać, czy odrobina szronu nie znajduje się także i na moim nosie.

Nie chcieliśmy ryzykować z rozpalaniem ognia. Trawa wokół nas była zbyt łatwopalna. Poza tym i tak nie mieliśmy drewna, dlatego pokroiliśmy jeszcze trochę chleba i zjedliśmy go z zimną fasolką cioci Lou. Najbardziej brakowało nam picia. Ciocia Lou próbowała nas namówić do zabrania mleka, ale upieraliśmy się, że to oznaczałoby więcej bagażu, a i tak mieliśmy już dużo do dźwigania. Zapewnialiśmy ją, że będziemy mieć pod ręką zimną, słodką wodę ze strumienia. Tak by też było, gdyby nie ten głupi czerwony byk.

Przez cały czas drżąc z zimna, spakowaliśmy nasze rzeczy najlepiej, jak się dało, i ruszyliśmy w stronę wyznaczonego celu zanim jeszcze słońce zdążyło wspiąć się na wschodni horyzont.



Rozdział 5

Obozowisko

WSZYSCY TRZEJ NIE MOGLIŚMY SIĘ doczekać wędrówki w górę rzeki. Żaden z nas nigdy wcześniej tam nie był, ale słyszeliśmy, co mówili ludzie, którzy widzieli miejsce, gdzie woda bulgocząc wytryskała ze zbocza góry, by spłynąć na pola uprawne poniżej. Wszyscy twierdzili, że była tam czysta i zimna niczym kryształ lodu. Że zielone drzewa - jak utrzymywał dziadek - pochylały się nad małym strumieniem, „jakby próbując dotrzeć swoimi liściastymi palcami do wody”.

Ponieważ ciągle mieliśmy przed sobą spory kawałek drogi, szliśmy tak szybko, jak się dało. Chwilami wędrówka była dość łatwa i przyjemna, czasami nieco trudniejsza, a niekiedy było naprawdę ciężko. Przedzieraliśmy się przez krzaki i tereny bagienne, przez cały czas trzymając się blisko brzegu rzeki. Parę razy mogliśmy się nieco oddalić i wybrać łatwiejszą ścieżkę, bo wiedzieliśmy, w jakim kierunku iść i jak wrócić

potem na szlak wzdłuż rzeki. Lecz wszyscy trzej udawaliśmy, że jesteśmy w jakiejś obcej krainie, której nigdy wcześniej nie widzieliśmy, i jeśli nie będziemy trzymać się rzeki, zabłądzimy i zginiemy marnie.

Około południa zatrzymaliśmy się, by zjeść trochę chleba z serem i parę soczystych jabłek (które były w plecaku Williego). Gdy ruszyliśmy dalej, zauważyłem, że Willie niewiele się odzywa, a jedynie obserwuje wszystko dookoła z uśmiechem zadowolenia na twarzy. Wycieczka bez wątpienia mu się podobała, mimo że miał najcięższy plecak. Przełożył do swojego i tak już przeładowanego worka kilka rzeczy ze zniszczonego plecaka Avery'ego. Wiedziałem, że Willie niesie znacznie więcej niż powinien, ale i tak nie narzekał.

Za to Avery z nawiązką nadrabiał milczenie Williego. Cały czas tylko labiedził i kwękał. Zaczynałem żałować, że to nie on został w domu zamiast Jacka, mimo że wycieczka była jego pomysłem. Willie zaś w ogóle nie zwracał na niego uwagi. Wydawał się całkowicie pochłonięty podziwianiem lasu, rzeki i ptaków, które zostały z nami na zimę.

Zrobiło się już popołudnie i wiedzieliśmy, że zbliżamy się do źródła rzeki. Za którymś zakrętem trafiliśmy prosto na strome urwisko przy zboczu wzgórza. Przez cały czas wędrowaliśmy po północnej stronie rzeki, która teraz wciniała się w skałę tak, że nie dało się tamtędy przejść. Musieliśmy przeprowić się przez rzekę i przynajmniej jakiś czas iść po stronie południowej.

Rzeka nie była ani specjalnie głęboka, ani szeroka, ale i tak nie mogliśmy przez nią po prostu przeskoczyć. Nie wystawały

też nad wodę żadne kamienie, co oznaczało, że musieliśmy się zamoczyć. Miałem już właśnie ściągać skarpety i buty, a potem podwinąć nogawki spodni, kiedy usłyszałem głos Williego.

- Pamiętajcie tę zwaloną kłodę?

Avery i ja spojrzeliśmy na niego. Nie widziałem żadnej zwalonej kłody, ale musiałem przyznać, że nie obserwowałem otoczenia tak uważnie, jak Willie. Byłem rozkojarzony przez marudzenie Avery'ego. Ponieważ Willie nie zwracał na niego uwagi, Avery wszystkie swoje żale kierował do mnie.

- Nie widziałem żadnej kłody - powiedział Avery.

- Leżała kilkaset metrów stąd - upierał się Willie. - Prawdopodobnie ktoś ją tam zostawił jako pomost. Rozciągała się od jednego brzegu do drugiego. Jeśli zawrócimy, nie będziemy musieli zamoczyć nóg. Teraz jest ciepło, ale woda na pewno jest zimna, a my nie będziemy mieli jak się ogrzać. Noc zapadnie prędko i będzie chłodna.

Brzmiało rozsądnie. Nie bardzo miałem ochotę na kolejną niewygodną noc, tym razem z powodu zimnych, wilgotnych stóp.

- Pewnie - zgodziłem się - jeśli widziałeś jakąś kłodę, po której moglibyśmy przejść, zawróćmy. Mnie też nie spieszy się do spędzenia nocy z przemarzniętymi nogami.

- Powinniśmy byli od razu tamtędy przejść - narzekał Avery. - Zaoszczędzilibyśmy sobie dodatkowej drogi. Ten plecak jest już i tak wystarczająco ciężki bez łożenia tam i z powrotem.

Spojrzałem na Avery'ego zniesmaczony. Przez to, że rzucił swoje rzeczy na pastwę byka, który zniszczył połowę z nich, po czym część trafiła do Williego, plecak Avery'ego był najlżejszy.

Nie odezwałem się jednak, tylko zawróciłem i podążyłem za Williem.

Willie miał rację. Kłoda rzeczywiście leżała rozciągnięta nad rzeką w miejscu, o którym mówił. Bardzo chciałem zobaczyć na niej jakieś wcześniejsze ślady butów, które oznaczałyby, że ktoś poza nami już przez nią przechodził - może nawet Indianie! Może to oni ją tutaj zostawili? Czułem się jak jakiś odkrywca albo jeden z pierwszych osadników.

Willie przeszedł jako pierwszy. Zrobił to sprawnie i z gracją. Można by pomyśleć, że ćwiczył przechodzenie przez kłody całe swoje życie! Ale Willie rzeczywiście nigdy nie był strachliwy. Zawsze wyrwał się do wyzwania – chodzenie po płocie, wspięcie się na czubek świerku na pastwisku, cokolwiek by sobie można wymyślić. Zauważyłem, że odkąd zaprosił Boga do swojego życia, nie był już tak skory do robienia niebezpiecznych głupot dla samej zabawy.

Potem przyszła kolej na mnie. Nie byłem tak opanowany, jak Willie. Próbowałem nie dać tego po sobie znać, ale przy każdym kolejnym kroku wyobrażałem sobie, jak wpadam do tej zimnej wody.

- Hej, Josh, zaczekaj na mnie! - zawołał Avery. - Moje buty nie nadają się do chodzenia po śliskich pniach drzew. Nie dam w nich rady z tym ciężkim plecakiem.

Nie mogłem się obrócić, żeby na niego spojrzeć, a już na pewno nie mogłem zatrzymać się na środku kłody nie mając się czego przytrzymać.

- Jeśli my damy radę, to ty też - krzyknąłem przez ramię.
Avery więc się nie odezwał, a ja poczułem jak wchodzi

na pień, powoli zmierzając naprzód. Dalej nie mogłem sobie pozwolić na to, żeby się obejrzeć. Musiałem skupić całą swoją uwagę na tym, żeby samemu utrzymać się na kłodzie.

Kiedy już stawiałem nogę na brzegu, w duchu wydając z siebie głębokie westchnienie ulgi, za moimi plecami rozległ się przeraźliwy wrzask. Odwróciłem się dokładnie w momencie, gdy - owszem, zgadliście - Avery chwije się na pniu to w przód, to w tył, próbując złapać równowagę. Od razu było jednak widać, że mu się nie uda. Wreszcie, wołając o pomoc i usiłując złapać powietrze, ześlizgnął się z kłody i z ogromnym pluskiem wpadł do wody.

Przez moment wydawało mi się, jakby rzeka wydała z siebie chichot. W rzeczywistości był to pewnie bulgot wody, który spowodowało zanurzenie się w niej Avery'ego.

Gdy wreszcie udało mu się stanąć na nogach, okazało się, że rzeka sięgała mu jedynie za kolana, ale i tak - bez względu na to, czy była głęboka, czy nie - Avery był przemoczony do suchej nitki. Stał ociekając wodą, parskając i ocierając sobie twarz. W jego wzroku krył się strach - albo złość, nie potrafiłem ocenić - a jego ubrania były sklezione jak pióra kurczaka, którego wybrano na obiad i wymoczono przed oskubaniem. Ależ chciało mi się śmiać! Nie odważyłem się nawet zerknąć na Williiego. Wiedziałem, co by się wtedy stało, a Avery i tak wyglądał już na dostatecznie zdenerwowanego.

Dopiero potem zwróciłem uwagę na jego plecak. Ciągłe leżał zanurzony w wodzie, a w nim duża część tego, co zostało z naszych zapasów żywności. Jejku, pomyślałem, jeśli w ogóle jeszcze kiedykolwiek pójdziemy na biwak, to Avery'emu

trzeba będzie przydzielić jedynie patelnie i garnki. Żelaznych i emaliowanych naczyń nie ma chyba jak uszkodzić.

Willie najwyraźniej pomyślał o jedzeniu w tej samej chwili, co ja, bo przebiegł obok mnie, odrzucając na bok swój plecak, i rzucił się do wody, by wyłowić zmoczony pakunek. Nie zdjął nawet skarpetek i butów, ani nie podwinął nogawek.

Woda zdążyła już dokonać zniszczenia. Willie i ja z jękiem wyciągaliśmy przemoknięty chleb i ciasteczka oraz ociekający wodą bekon. Wykąpane w rzece warzywa i owoce nie ucierpiały. Część rzeczy ciągle była zabezpieczona we wgniecionych przez byka puszkach, które przygotowała ciocia Lou. I tak jednak straciliśmy sporo zapasów, które miały nam wystarczyć na kolejne dni. Aż mnie zemdliło, kiedy oszacowałem straty.

Cała pościel i zapasowe ubrania Avery'ego także były mokre. Jeśli zamierzał schować się gdzieś za krzakiem i przebrać, to mógł sobie darować. Rzeczy w jego plecaku były tak samo mokre jak to, co miał na sobie.

Co dziwne, odkąd wyszedł na brzeg cały się trzęsąc, Avery nie wypowiedział ani słowa. Tymczasem Willie sięgnął do swojego plecaka i dał mu suche ubranie.

- Lepiej zdejmij te mokre rzeczy, zanim się rozchorujesz - doradził, a Avery w milczeniu wziął od niego odzież i udał się w kierunku pobliskich zarośli.

- Co my teraz zrobimy? - szepnąłem do Williego, kiedy Avery znalazł się na tyle daleko, by mnie nie słyszeć.

- Nie mamy zbyt wielkiego wyboru - odparł Willie równie cichym tonem. - Musimy jak najszybciej rozbić obóz, żeby wysuszyć rzeczy Avery'ego.

Skinąłem głową, chociaż strasznie nie chciałem zatrzymać się teraz, gdy byliśmy tak blisko źródła.

Powoli wstałem.

- Pójdę po trochę drewna na opał - westchnąłem.

Gdy wróciłem, zobaczyłem, że Willie rozwiesił koce i ubrania Avery'ego na pobliskich krzakach, a teraz zastanawiał się nad tym, co zrobić z jedzeniem. Na razie próbował wymyślić dla nas jakąś kolację. Był pewnie tak samo głodny, jak i ja.

Odgarnąłem suche liście, aż dotarłem do ziemi pod spodem. Gdy uznałem, że można już w tym miejscu rozpalić ognisko, posypałem je piaskiem znad brzegu rzeki, a potem położyłem te suche liście, trawę i małe kawałki drewna. Ogień zapłonął, kiedy tylko podłożyłem pod nie zapałkę. Wszyscy chyba z wdzięcznością powitaliśmy jego wesoły blask. Avery przysunął się bliżej z wyrazem smutku na twarzy, ledwo zostawiając mi czas, żeby zrobić mu miejsce.

Odczekawszy, aż ogień będzie wystarczająco duży, wyciągnęliśmy patelnię i położyliśmy na niej trochę bekonu. Pachniał wspaniale. Zostało nam trochę fasolki od cioci Lou, więc podgrzaliśmy ją w garnku. Nie wiedzieliśmy, czy woda z tego miejsca rzeki była wystarczająco czysta, więc zagotowaliśmy ją w puszcze. Ciężko było trzymać wszystkie te naczynia naraz nad ogniem, dlatego Willie i ja sporo się napracowaliśmy, żeby nimi żonglować i wciąż podkładaliśmy do ognia. Avery siedział tylko i trząsał się z zimna.

- Musimy się zastanowić, gdzie będziemy dziś spać - poinformował Willie. - Możemy zbudować szałas z gałęzi i dorzucić do ognia przez całą noc, jeśli będzie trzeba.

To oznaczało, że będziemy potrzebować więcej drewna. Wziąłem więc siekierkę, ruszając w głąb lasu. Willie pozostał wystarczająco blisko ognia, by upewnić się, że się nie rozprze-strzeni. Zaczął też opierać gałęzie o pochylone drzewo tak, by powstało z nich schronienie.

W końcu Avery zawołał nas na kolację. Najwyraźniej siedział przy ogniu, wdychając zapachy jedzenia tak długo, że nie mógł już dłużej wytrzymać. Wyjęliśmy talerze i nałożyliśmy sobie fasolki z bekonem. Willie zadbał o to, żeby nasze porcje były równe. Ja natomiast wymieszałem trochę kakao z wrzątkiem i przelałem gorący napój do trzech cynowych kubków. Nie miałem wątpliwości, że dzięki niemu trochę rozgrzejemy nasze zmarznięte ciała. Willie i Avery byli boso, bo obaj zamoczyli buty w rzece. Pożyczyłem Williemu swoje dodatkowe skarpety, ale żaden z nas nie miał zapasowych butów.

Jedzenie smakowało świetnie. Ledwo doczekaliśmy końca modlitwy, którą przed posiłkiem odmówił Willie. Potem zaczęliśmy jeść z takim entuzjazmem, jakbyśmy uczestniczyli we wspaniałym bankiecie. Mówi się, że wszystko smakuje lepiej w plenerze. Być może. Wiem tylko, że tamta kolacja rzeczywiście była doskonała. Jej jedynym minusem było to, że jedzenia było stanowczo za mało. No i oczywiście brakowało nam chleba. Cała nasza trójka pozostała głodna nawet po wyczyszczeniu talerzy.

Każdy z nas poczęstował się jeszcze jesienną gruszką, żałując, że nie możemy jej przegryźć słodkimi ciastkami cioci Lou. Widok przemoczonej masy, która z nich została, nie wydawał nam się jednak zbyt zachęcający.

Słońce chyliło się już ku zachodowi. Wiedzieliśmy, że nie jest jeszcze bardzo późno, ale robiło się chłodno. Nikt nie powiedział tego na głos, lecz zgodnie uznaliśmy, że ten dzień był wystarczająco długi.

Ponieważ tylko ja miałem buty, to do mnie należało donoszenie zapasów drewna. Nie wątpiłem, że mamy go wystarczająco dużo, ale utrzymanie ciepła było bardzo ważne, więc coraz bardziej powiększałem naszą stertę.

Tymczasem Willie i Avery dokładali kolejne gałęzie do naszego szałas. Potem rozłożyli je również na ziemi, robiąc z nich coś w rodzaju porządnego, grubego materaca. Później Willie wyjął nasze koce. Gdy przyszedłem z naręczem drewna, mościł dla nas jedno pośłanie. Na ten widok musiałem nieświadomie zmarszczyć brwi, bo Willie odezwał się, jak gdyby uważał, że czekam na wyjaśnienie.

- Mammy tylko dwa koce, więc żeby nie zmarznąć w nocy, musimy spać razem.

Zgadzałem się z nim, choć nie byłem przyzwyczajony do dzielenia z kimś łóżka. Williemu natomiast to chyba nie przeszkadzało. Odkąd sięgał pamięcią, musiał spać w jednym łóżku ze swoimi dwoma braćmi.

Dołożyliśmy drzewa do ognia, umyliśmy naczynia i spakowaliśmy pozostałe zapasy jedzenia. Zastanawiałem się, na ile posiłków jeszcze nam go wystarczy. Cieszyłem się, że zabrałem sprzęt do łowienia.

Żaden z nas nie zdjął ubrań. Ja ściągnąłem tylko buty i schowałem je w szałasie na wypadek, gdyby w nocy zaczęło padać. Willie i Avery położyli swoje tak blisko ognia, jak było

można, w nadziei, że przez noc wyschną i rano będą nadawały się do włożenia.

Potem wszyscy wpełzliśmy do środka i zajęliśmy miejsca na pościeli. Zdecydowaliśmy, że ponieważ Avery był najbardziej wymarznęty, to on powinien spać najbliżej ognia. I że w takim razie do niego będzie należało dokładanie drewna w ciągu nocy.

Willie był przyzwyczajony do spania z kimś w jednym łóżku, więc zgodził się położyć w środku. Mnie zostało miejsce z tyłu szałas - z dala od ognia, tuż przy gałęziach, które tworzyły ściany naszego schronienia.

Z pewnością nie była to najlepsza noc w moim życiu. Ostre igły świerka przekłuwały koc i drapały w miejscach, gdzie drapany być wcale nie chciałem. Gałęzie z tyłu szałas smagały mnie po twarzy za każdym ruchem, a nawet każdym oddechem. Avery ciągnął koce do siebie, mimo że leżał najbliżej ognia. Chyba się nimi owinął dookoła, w związku z czym dla mnie nie zostało zbyt wiele do przykrycia.

Spałem niespokojnie. Willie nie był tak dobry w spaniu pośrodku, jak się tego spodziewałem. Ciągłe przewracał się to na jeden bok, to na drugi, a w naszej zatłoczonej siedzibie nie było miejsca na takie akrobacje. Avery spał tak mocno, że ani razu nie dołożył drzewa do ognia. Nie zdążyliśmy się nawet porządnie rozgrzać, a już zrobiło się wprost lodowato. Nad ranem wszyscy trzęśliśmy się z zimna, buty chłopaków ciągle były przemoczone, a sterta drewna pozostawała tak wysoka, jak przed zapadnięciem nocy.

Obudziliśmy się przed wschodem słońca, cali zdrętwiali i w podłym nastroju. Uwolniłem się spośród gałęzi z tyłu szałas i przeszedłszy nad Williem i Avery'm założyłem swoje zmarznięte buty, by rozpaść ogień. Moje palce były sztywne i wychłodzone, więc ręka mi się trzęsła, gdy próbowałem zapalić zapalki.

Chwilę potem znalazłem wgiętą puszkę, którą ciocia Lou napełniła mieszanką do przygotowania naleśników. Dodałem do suchych składników trochę wody z rzeki i wrzuciłem całość na patelnię, mimo że nie była jeszcze wystarczająco rozgrzana. Naleśniki nie wyszły zbyt dobre - przynajmniej nie pierwsza porcja. Były blade, rozmoczone i za nic nie chciały dać się przewrócić na drugą stronę. I tak je zjedliśmy. Polane syropem klonowym nie smakowały wcale tak źle. Gdy zbliżałem się już do końca partii, patelnia była tak gorąca, że naleśniki przypalały się jeszcze przed usmażeniem.

Były jednak na tyle dobre, że zdecydowałem się otworzyć kolejną puszkę. Przygotowałem ciasto, usmażyłem kolejne naleśniki i zjedliśmy je. Więcej już takich puszek nie mieliśmy. To, co ciocia Lou przygotowała na trzy śniadania, ledwo starczyło nam na jedno. Ale przecież dzień wcześniej zjedliśmy tak mało.

Zamoczone w rzece buty ciągle były wilgotne, a ubrania i koce potrzebowały jeszcze paru godzin suszenia, więc wiedzieliśmy, że nie należało zwijać naszego obozowiska. Postanowiliśmy zostać tam, gdzie się rozłożyliśmy.

- Musimy tutaj poczekać, aż wszystko wyschnie - powiedział Willie. - Mamy jeszcze tylko jedną noc. Nie ma szans,

żebyśmy dali radę przejść całą drogę do źródła i z powrotem do domu w ciągu jednego dnia.

- To znaczy, że chcesz zawrócić, chociaż nie dotarliśmy w ogóle do źródła, które było celem naszej wędrówki? - jęknął Avery.

- Ja na pewno tam bosą nie pójdę - odparł Willie. - A ty?

Wiedziałem, że w ciągu lata Avery nigdy nie chodził bez butów, tak jak ja w dzieciństwie. Wiedziałem też, że jeśli miałbym wybierać, czy iść dalej, czy zawrócić i nie zobaczyć źródła, nie wahałbym się i poszedłbym bosą pomimo tego, że była już jesień, a pośród krzewów trudno było o przyzwoitą ścieżkę. Nic jednak nie powiedziałem.

- To niesprawiedliwe - wymamrotał Avery. - Tak się przechwalaliśmy, jak to dojdziemy do źródła rzeki, a teraz musimy wracać do domu i przyznać się, że nawet go nie widzieliśmy.

Ja też byłem trochę rozczarowany.

- Josh może iść dalej. Ma buty - zauważył niespodziewanie Willie.

Nie przyszło mi nawet do głowy, że mógłbym iść sam. Ale widok podekscytowania Williego i blasku w oczach Avery'ego wzbudził we mnie ogromną ulgę. Mimo wszystko miałem zobaczyć źródło.

Wiedziałem, że nie tak się umawialiśmy, ale to rozwiązanie wydawało się lepsze, niż siedzenie tutaj. Przynajmniej jeden z nas mógłby potem opowiedzieć chłopakom, jak źródło wygląda jesienią.

Zdecydowaliśmy, że sam ruszę w górę rzeki, podczas gdy chłopcy wysuszą swoje rzeczy w obozie. Rozumiałem, jak

bardzo Willie i Avery nie chcą, by ominęła ich cała przygoda. Naprawdę im współczułem, ale nie było sensu, żebym został z nimi przy ognisku.

Zanim ruszyłem, przyniosłem im jeszcze trochę drewna, a oni wpełzli z powrotem pod koce. Domyśliłem się, że skoro nie mają nic lepszego do roboty, będą odsypiać tę zimną noc. Ja musiałem jakoś wytrzymać, chociaż pewnie sam byłem bardziej niewyspany niż oni.

Mimo to czułem się podekscytowany. Nie mogłem się doczekać, aż zobaczę miejsce, z którego wypływa rzeka. Czy naprawdę było tak ładne, jak opowiadali? Czy woda rzeczywiście była tak zimna i czysta? Postanowiłem, że wezmę ze sobą wiadro, aby przynieść chłopakom tej sławnej wody ze źródła.



Rozdział 6

Źródło

CHOCIAŻ BYŁEM PODEKSCYTOWANY, to – jak już wcześniej wspomniałem - nie mogłem wyzbyć się uczucia rozczarowania, że muszę kontynuować wyprawę w samotności. Nie wiedziałem, czy żałowałem siebie, czy raczej chłopców. Rozumiałem oczywiście, że tak naprawdę wcale nie chcieli zostawać w obozie i czekać, aż im wyschną buty, ale dla mnie to też nie było już to samo. Nie miałem z kim dzielić radości z wędrówki.

Zacząłem więc iść nieco przygnębiony. Nie minęło jednak wiele czasu, nim nabrałem otuchy. Było ciepło i jasno - kto mógłby chodzić smutny w takich promieniach słońca? Wiatr poruszał delikatnie tymi liśćmi, które jeszcze z uporem trzymały się gałęzi drzew. Ćwierkające ptaki zataczały prędkie koła nad moją głową. Pomimo dobrej pogody znaczna część migrujących ptaków odleciała już do ciepłych krajów, ale zostały jeszcze hałaśliwe sójki i zalotne sikorki. Dostrzegłem też

nawet wielkiego jastrzębia siedzącego na ściętym pniu. Jego wymuskane pióra lśniły w słońcu.

Jak powiedziałem, w taki dzień nikt nie potrafiłby pozostać przygnębionym na długo. Wędrowałem przez najładniejszą okolicę, jaką do tej pory widziałem. Nigdy wcześniej nie zaszedłem tak wysoko w górę rzeki i owe widoki bardzo mi się podobały.

Nie miałem pojęcia, jak długo będę musiał iść, aby dojść do źródła. Godzinę, może dwie? Ale im głębiej zapuszczałem się w gęsty, ciągnący się wzdłuż rzeki las, tym mniej martwiłem się o odległość. Spacerowałem bez pośpiechu, rozglądając się, podziwiając piękno Bożego stworzenia i myśląc o tym, jak bardzo to wszystko spodobałoby się dziadziowi, gdyby mógł tu ze mną być.

Zanim zdążyłem się zorientować, dobiegł mnie dźwięk spadającej wody. Od razu przyspieszyłem kroku. Przecisnąłem się między rosnącymi wzdłuż strumienia gęstymi drzewami, a gdy wyszedłem zza zakrętu rzeczki, moim oczom ukazał się zapierający dech w piersiach widok.

Ze stromej zbocza wzgórze spływały wody ślicznego, małego wodospadu. Zerkając w górę, na skały, z których wypływały, zdałem sobie sprawę, że patrzę właśnie na źródło - początek naszej rzeki. Stałem w miejscu, chłonąc obraz srebrzystej wody, która - czysta i chłodna - połyskiwała w słońcu, spadając prosto do płytkiego jeziora poniżej. Miejsce wyglądało dokładnie tak, jak opowiadał dziadek - długie, cienkie gałęzie drzew zdawały się sięgać w dół, do lśniącej wody. Na jasną zielen gdzieniedzie padał cień świerków i sosen, a małe zarośla,

ciągle przystrojone w jesienne czerwienie i złota, przeglądały się w lustrzanej tafli jeziorka. Nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widziałem. Stałem urzeczony, napawając oczy i duszę tym nieprawdopodobnym widokiem.

Wreszcie wypuściłem powietrze, które nieświadomie trzymałem w płucach, i powoli ruszyłem do przodu. Przyklęknałem przy brzegu jeziorka, zanurzając jedną rękę w wodzie. Palce szybko zaczęły mi drętwieć pod wpływem jej chłodu.

Usiadłem na omszałym dywanie pokrywającym brzeg, a mój wzrok powoli przemierzał każdy centymetr okolicy. Nie wiem, jak długo tam siedziałem, chłonąc piękno tego zakątka. W końcu podniosłem się z westchnieniem i zacząłem badać teren otaczający mały staw.

Ależ żałowałem, że nie było ze mną chłopaków! Omijało ich coś naprawdę wyjątkowego.

Nieskory do opuszczenia tego miejsca, zanurzyłem wiadro w chłodzie źródlanej wody, żeby przynieść jej trochę dla kolegów. Potem jednak wpadł mi do głowy inny pomysł, więc wyłałem wodę z powrotem do jeziorka. Obszedłem je i wspiąłem się tam, gdzie źródło wypływało ze zbocza skały.

Wyciągając dłoń z wiaderkiem tak daleko, jak tylko mogłem, zdołałem dosięgnąć srebrzystego strumienia spadającej z góry wody. Gdy napełniłem naczynie, ochlapała mi rękę lodowatą strugą. Chciałem wrócić do obozu tak szybko, jak się dało, żeby chłopcy zobaczyli, jaka jest zimna, ale jednocześnie strasznie nie chciałem opuszczać tego miejsca.

- Wrócę tu - obiecałem sobie szeptem – jeśli tylko będę mógł, na pewno tu wrócę. A kiedy znów tu przyjdę, rozłożę

obóz tuż obok stawu i będę słuchać muzyki wodospadu przez całą noc.

Raz jeszcze okrążyłem jeziorko i obrzuciwszy je długim spojrzeniem, ruszyłem w drogę powrotną. Tym razem przemierzyłem ją znacznie szybszym krokiem. Słońce dawno zatoczyło krąg na niebie i teraz chyliło się już ku zachodniemu horyzontowi. Dopiero kiedy znalazłem się blisko obozu i poczułem unoszący się w powietrzu zapach jedzenia, zdałem sobie sprawę z tego, jaki byłem głodny.

Spieszyłem się, chcąc dostarczyć chłopcom źródlanej wody, póki była jeszcze zimna. Gdy dotarłem na miejsce, Willie i Avery wyglądali na zawstydzonych. Tak bardzo nie mogłem doczekać się, aż opowiem im o źródelku, że - choć umierałem z głodu - nie zwróciłem nawet uwagi na przygasły ogień. Ze szczegółami opisywałem wodospad i jeziorko wraz z otaczającą je zieloną, czerwoną i złotą roślinnością. Podałem im wiadro z wodą nalegając, by skosztowali. Rozgadałem się na temat tego, jaka była wcześniej lodowata i pewnie mówiłbym w nieskończoność, gdyby nie zaczęło mi burczeć w brzuchu. Byłem strasznie głodny.

Spojrzałem na osmolony garnek nad zimnym popiołem, który został z ogniska i przyklęknąłem, by sięgnąć po zabrudzone naczynie.

Willie zaczął się tłumaczyć, ale powstrzymałem go machnięciem ręki.

- W porządku - zapewniłem. - Zjem na zimno.

- Tylko... no... - mamrotał Willie. - Obawiam się, że nie zostało nic na zimno.

- No to rozpalę ogień raz jeszcze i upiekę to, co jedliście - zaproponowałem. - A co jedliście?

- Cóż... Willie upiekł nad ogniskiem ziemniaki i marchewki - podsunął Avery.

- Brzmi nieźle - pochwaliłem. - Długo wam to zajęło?

Żaden nie odpowiedział na moje pytanie.

- Upiekliliśmy wszystkie ziemniaki i marchewki, jakie znaleźliśmy - dorzucił Avery po chwili. - I tak za wiele tego nie było. Jakieś zwierzę dobrało się w nocy do naszych zapasów. Najwyraźniej posmakowały mu warzywa. - Avery opowiadał nieco śmieiej. - Musieliśmy się trochę nachodzić, żeby znaleźć to, co zostało, a potem jeszcze trzeba było wyciąć nadgryzione kawałki.

- Ojej - westchnąłem, ale już za moment przyszedł mi do głowy nowy pomysł. - W takim razie usmażę sobie trochę bekonu.

Willie poruszył się niespokojnie na kamieniu, którego używał jako stołka.

- Bekonu też już nie ma - powiedział ściszym głosem, z oczami wbitymi w ziemię.

Zawahałem się. Nie mieliśmy już chleba, sera, jabłek, gruszek, ciastek ani mieszanki do naleśników.

- Więc co zostało? - zadałem w końcu pytanie, którego tak się obawiałem.

- Fasolka - odpowiedzieli chórem Willie i Avery.

- Wobec tego złapię jakąś rybę - wymamrotałem, próbując ukryć swoje zniesmaczenie.

- Ja w tym czasie rozpalę ogień i podgrzeję fasolkę - zaferował szybko Avery. Podziękowałem mu i wziąłem wędkę.

Willie wyglądał na zmartwionego.

- Na pewno chcesz zaczekać z jedzeniem, aż uda ci się coś złowić? - dopytywał. - Wiesz, że to może chwilę zająć.

Nie powiedziałem, że nie zostawili mi innego wyjścia.

- Po drodze zjadłem jabłko i gruszkę - odezwałem się. - Wytrzymam do czasu, aż na mojej patelni znajdzie się ryba.

Ruszyłem w dół szlaku, usiłując wyglądać na bardziej pewnego siebie, niż byłem w rzeczywistości. Mniej więcej ćwierć mili w górę rzeki widziałem miejsce, które wydało mi się dobre na łowienie.

Złapanie ryby zajęło mi jednak trochę więcej czasu, niż się spodziewałem. Dwa razy musiałem zmieniać miejsce, gdzie zarzucałem wędkę. W końcu udało mi się złowić małego szczupaka, z którego byłem całkiem zadowolony. Mój skrzęcający się z głodu żołądek nie mógł się już doczekać chwili, aż wrócę do obozu i położę go na patelni.

Gdy byłem już blisko, poczułem dziwny zapach. Spodziewałem się, że powita mnie bogaty, mocny aromat gotowanej fasoli, ale to był zupełnie inny zapach.

Gdy dotarłem na polankę, gdzie nasz szałas opierał się o zwalone drzewo, rozejrzałem się dookoła. Wybrzuszenie pod kocami podpowiedziało mi, że ktoś znów ucina sobie drzemkę. Jak się okazało - w szałasie leżały przykryte dwa „ktosie”. Ogień wygasł po raz kolejny. Widziałem, że - zgodnie z obietnicą - Avery lub Willie go dla mnie rozpalili. Na trzech kamieniach stał pobrudzony sadzą garnek. Spojrzałem

do środka. Ciężko było rozpoznać, ale domyślałem się, że zwęglone, wydzielające przykrą woń resztki na dnie stanowiły pozostałość po fasolce cioci Lou. Jęknąłem.

Rozpalenie ognia na tyle, by patelnia zaczęła skwierczeć, zajęło mi trochę czasu. Cieszyłem się, że ciągle mieliśmy masło, puszkę mąki oraz sól i pieprz, które ciocia Lou dała na panierkę do ryby. Wypatroszywszy szczupaka, dokładnie opłukałem go w zimnej rzece i obracałem w mące tak długo, aż cały pokrył się białą mieszanką. Potem wrzuciłem na patelnię odrobinę masła i delikatnie położyłem kawałki ryby na złotym tłuszczu. Pachniało wyśmienicie.

Biorąc pod uwagę, że od śniadania złożonego z naleśników przez cały dzień zjadłem tylko jabłko i gruszkę, oczekiwanie na to, aż ryba przybierze złocistobrązowy kolor, wymagało ode mnie nie lada cierpliwości. Nie pogardziłbym co prawda dodatkiem w postaci gotowanej fasoli albo kromki chleba, ale jego brak mnie nie powstrzymał. Wgryzłem się w szczupaka, nie patrząc na to, jaki był gorący.

Zapach smażonej ryby unosił się gęsto w powietrzu i już po chwili chłopacy zaczęli wiercić się na swoim legowisku. Usłyszałem, jak Willie wydał z siebie coś w rodzaju jęku i domyślałem się, że oni też są znów głodni. Nie żebym nie lubił się dzielić, ale w końcu czym była taka jedna mała ryba na trzy osoby? Zacząłem jeść szybciej.

Oczywiście, zanim jeszcze skończyłem, Avery wypętlął spod koca oblizując usta, a Willie tuż za nim.

Siedziałem tyłem do nich i nie odwracając się wcinałem dalej. Przypuszczałem, że zrobili się już tak samo głodni, jak

ja byłem wcześniej. Nie chciałem zachowywać się samolubnie, więc odwróciłem się lekko w ich stronę i odezwałem się z pełną buzią:

- Jeśli chcecie, moja wędka i hak leżą tam.

Avery nie przepadał za łowieniem, ale bez wątplenia lubił jeść, więc wziął sprząt i razem z Williem ruszyli ścieżką w stronę rzeki.

- Jakies pół mili stąd znajduje się miejsce, gdzie woda jest głębsza - zawołałem za nimi. – Spróbujcie tam coś złapać.

Skończywszy kolację, umyłem naczynia w strumieniu, odstawiłem patelnię do wyschnięcia i włożyłem do szafasu. Wreszcie nadeszła moja kolej na sen. Szczególnie, że niedługo znów miałem dzielić tę małą przestrzeń z dwoma innymi osobami. Niespecjalnie mi się to podobało, a do tego byłem taki zmęczony.

Zdjąłem ciężkie buty, ułożyłem je starannie w środku szafasu i upewniwszy się, że moja kurtka była dokładnie zapięta, przeczogąłem się na tył prowizorycznego schronienia, gdzie natychmiast wsunąłem się pod koc. Szybko poczułem falę senności i ciepła. Nie słyszałem nawet, kiedy chłopcy wrócili do obozu.



Rozdział 7

Powrót do domu

NASTĘPNEGO DNIA CHŁÓD jesiennego poranka bardzo wczesnie wypłoszył nas spod koców i zmotywował do wygramolenia się na zewnątrz w celu rozpalenia ognia. Już wcześniej przygotowałem stertę drewna, która leżała teraz przy szałasie, więc wystarczyło tylko, że zebraliśmy trochę suchych liści, kory i nadającej się na podpałkę trawy.

Słońce dopiero wstawało, by z blaskiem powitać nowy dzień. Wydawało mi się, że wyczuwam podekscytowanie w każdym promieniu, który rozchodził się przyjemnym ciepłem po moich plecach i ramionach. Dzięki połączeniu słońca z gorącym ogniskiem cały chłód nocy prędko wyparował z naszych kości.

Kiedy trochę się zagrzało, zaczęliśmy myśleć o jedzeniu. Wszyscy byliśmy głodni, ale - jak dowiedziałem się wczoraj popołudniu - z naszych zapasów zostało bardzo niewiele. Mieliśmy trochę masła, syropu, mieszankę mąki, soli

i pieprzu oraz parę innych rzeczy. Trudno byłoby z tego przyrządzić śniadanie.

- Co będziemy jeść? - zapytał Avery, żałośnie, przekopując się przez resztki naszego zaopatrzenia.

- Chyba musimy iść na ryby - odpowiedział Willie.

- Wczoraj wieczorem nie mieliśmy zbyt wiele szczęścia - stęknął Avery.

- Złapaliście coś? - zapytałem, uświadamiając sobie, że przecież zasnąłem przed ich powrotem.

- Nic a nic - odparł Avery krótko. Wspomnienie o tym ciągle budziło w nim irytację.

- Rankiem może będzie lepiej - próbowałem zdobyć się na jak najbardziej optymistyczny ton.

- Mam nadzieję - uciął Willie. - Za chwilę chyba umrę z głodu.

Wzięliśmy więc moją wędkę i bez zbędnego gadania ruszyliśmy w stronę rzeki. Ja szedłem na przedzie, prowadząc do miejsca, gdzie poprzedniego dnia udało mi się złapać szczupaka. Przygotowaliśmy się z Williem na porządny połów. Avery został na miejscu, by podtrzymywać ogień i rozgrzać patelnię.

Długo siedzieliśmy w ciszy, bojąc się spłoszyć ryby i pozbawić się szans na śniadanie.

Wreszcie Willie odezwał się szeptem.

- Trochę inaczej sobie wyobrażaliśmy tę wycieczkę, co nie?

Spojrzałem na niego bez słowa. Miał rację, ale nie byłem pewien, czy chcę się do tego przyznać - nawet przed samym sobą. Może biwakowanie nie było wcale takie fajne, jak się spodziewaliśmy.

- Nie żeby mi się nie podobało - dodał szybko Willie - ale sam musisz przyznać, że mieliśmy kilka pechowych wypadków.

Pomyślałem o Avery'm, moim najlepszym przyjacielem od wielu lat, i o tym, jak wiele rzeczy nam przez niego nie wyszło.

- To nie była wina Avery'ego - Willie jak gdyby czytał w moich myślach. - On też swoje przeżył. No bo kto chciałby być na jego miejscu, kiedy uciekał przed bykiem? Ta kąpiel w zimnej rzece też nie była zbyt przyjemna. No i głoduje tak samo, jak ja. I jest tak samo zawiedziony, że nie dotarł do źródła, jak ja.

Skinąłem głową na znak zgody. To była trudna przeprawa dla Avery'ego - szczególnie że nigdy przecież nie przepadał za przebywaniem na świeżym powietrzu.

- Tak sobie myślę - podjął znów Willie w zamyśleniu - może to Bóg ułożył w ten sposób naszą wycieczkę.

Zdziwiony, podniosłem wzrok na Williego. Skąd mu w ogóle przyszło coś takiego do głowy?

Willie odwzajemnił moje spojrzenie.

- Wiesz, co Avery przeżywa w środku?

- Avery?

- Tak. Nie mówi zbyt wiele, ale wczoraj, kiedy poszedłeś do źródła, zaczęliśmy rozmawiać i opowiedział mi, co tak naprawdę czuje. Wiesz, że stracił brata, a jego mama jest strasznie chora. Myślę, że potrzebował tej wyprawy, żeby na chwilę od tego wszystkiego uciec i przemyśleć sprawy. On się boi, Josh. Jest wręcz przerażony. Ubzdurał sobie, że Bóg chce mu uprzykrzyć życie, czy coś takiego. Wierzy, że jego mama niedługo też umrze i, nie wiedzieć czemu, sądzi, że to jego wina.

- Avery? - powtórzyłem odrobinę za głośno. Skarciłem się

za to w duchu. Nie chciałem przecież odstraszyć naszego przyszłego śniadania.

- Cóż, długo rozmawialiśmy. A potem się pomodliliśmy. Musimy mu pomóc, Josh. Pokażmy mu, że jesteśmy jego przyjaciółmi i że może na nas liczyć. Pokażmy mu, że Bóg naprawdę go kocha.

Znów skinąłem głową. Cała ta sytuacja dała mi wiele do myślenia. Gdyby nie nasz „pech”, Willie nie miałby okazji porozmawiać i pomodlić się z Avery’em. Nie wiedzielibyśmy, że Avery potrzebuje teraz wsparcia przyjaciół.

Wędkowaliśmy dalej w ciszy, ale bez upragnionego rezultatu. Ryby zwyczajnie nie chciały brać. Wstaliśmy więc i przenieśliśmy się w dół rzeki, by wypróbować inne miejsce. A potem kolejne. Ciągle nic. Zaczynałem się zastanawiać, czy Bóg przypadkiem nie uwziął się na całą naszą trójkę.

- Może dajmy sobie spokój - zaproponował Willie. – Jeśli się szybko nie spakujemy i nie ruszymy w drogę, nie zdążymy dziś z powrotem do domu.

Wiedziałem, że miał rację, choć w brzuchu strasznie mi burczało.

Wróciliśmy do obozu, a Avery, który rozpromienił się na nasz widok, szybko posmutniał, gdy zobaczył, że nie mamy ze sobą nic na śniadanie.

Zaczęliśmy pakować rzeczy. Już miałem wyrzucić resztkę mieszanki na panierkę, ale Avery mnie powstrzymał.

- Hej! - zawołał. - Nie wyrzucaj tego! Można by z tego zrobić naleśniki.

- Z pieprzem?

- Warto spróbować - nalegał Avery. - Jestem tak głodny, że zjem, co się nawinie.

Ale nie zjadł. Wziął mąkę, wymieszał ją z jajkiem, o którym wcześniej zapomnieliśmy, dodał trochę wody z rzeki i usmażył tę płaską, wyglądającą dość odpychająco substancję na maśle. Naleśnik nie pachniał wcale tak źle, choć wyglądem nie zachęcał. Avery polał go resztą syropu i zasiadł do śniadania. Willie i ja zaczęliśmy już żałować, że sami sobie tego nie przyrządziliśmy. Wziąwszy jednak kawałek do ust, Avery zaraz wypluł go tak daleko, że kęs znalazł się na drugim końcu obozu. Jak się ostatecznie okazało, te naleśniki nie były najlepszym pomysłem.

Dokończyliśmy pakowanie w ciszy. Ciężko mi było pogodzić się z faktem, że Avery zmarnował ostatnie dobre jajko.

Nasze bagaże były teraz znacznie lżejsze i podzieliliśmy się ładunkiem tak równo, jak tylko się dało. Garnek cioci Lou dalej nosił ślady przypalonej fasoli. Cieszyłem się teraz, że kazała nam zabrać ze sobą stare naczynie, bo wracało z naszej wyprawy w opłakanym stanie.

Postanowiliśmy, że zamiast przechodzić z powrotem przez kłodę, będziemy wędrować południową stroną rzeki. Znaliśmy ten szlak dość dobrze i wiedzieliśmy, że trzymając się brzegu rzeki aż do gospodarstwa Turley'ów, dojdziemy do mostu, którym bezpiecznie przejdziemy na właściwą stronę.

To był kolejny piękny jesienny dzień i pewnie wędrowniacy sprawiłyby nam dużo radości, gdybyśmy tylko nie byli tacy głodni. Pusty żołądek znacznie utrudniał skupienie się na błękicie nieba i szeleście jesiennych liści.

Dotarliśmy do farmy Turley'ów późnym popołudniem. Już wcześniej zgodnie uznaliśmy, że tym razem nie będziemy przechodzić przez ich pastwisko. Woleliśmy uniknąć ponownego spotkania z bykiem.

Gdy mijaliśmy drogę prowadzącą do domu Turley'ów, Avery nas zatrzymał.

- Może do nich wstąpimy? - zaproponował.

- Po co? - zapytał Willie.

Bałem się, że Avery chce poskarżyć się Turley'om na tego starego mściwego byka czy coś, a wtedy mogliby mieć pretensje, że w ogóle byliśmy na ich pastwisku.

- Napić się - odparł Avery. - Nawet trochę wody pomogłoby mojemu ściśniętemu żołądkowi.

Spojrzelśmy po sobie i skinęliśmy głowami. Woda rzeczywiście mogłaby okazać się pomocna.

Zbliżając się jednak do domu Turley'ów, zaczynałem żałować, że się na to zdecydowaliśmy. Powitał nas bowiem rozchodzący się z kuchennego okna najcudowniejszy zapach, jaki można sobie wyobrazić. Pani Turley piekła szarlotkę.

Zerknęliśmy na siebie nawzajem, a nasze wygłodzone brzuchy zaczęły burczeć jeszcze głośniej. Nie odezwaliśmy się ani słowem, ale wyraz w naszych oczach jasno wskazywał na to, że wszyscy przeżywamy te same katusze.

Avery podszedł do drzwi domu i delikatnie zapukał. Otworzyła nam czternastoletnia Mary, którą widok naszej stojącej na zewnątrz trójki najwyraźniej bardzo zdziwił. Gapiła się na nas bez słowa.

- Kto przyszedł? - zawołała pani Turley, a ja na dźwięk jej głosu poczułem ulgę.

- Chłopcy - odpowiedziała Mary. Zacząłem się obawiać, że zaraz zamknie drzwi i wróci do swoich kuchennych obowiązków.

- Zaproś ich do środka - poinstruowała pani Turley, a następnie przeszła przez kuchnię i wychyliła głowę przez drzwi, by na własne oczy zobaczyć gości.

- Wchodźcie, wchodźcie - zaprosiła nas wesoło. Ruszyliśmy za nią do kuchni. Niebieskie rękawy jej koszuli w kratkę były podwiniete, a na rękach i fartuchu miała ślady mąki.

- Co mogę dla was zrobić, chłopcy? - zapytała. Pani Turley słynęła z tego, że nie owijała w bawełnę.

- Jeśli byłoby to możliwe, chcielibyśmy prosić o coś do picia - odpowiedział Avery bez wahania. - Byliśmy na biwaku i właśnie wracamy do domu. Okropnie się zgrzaliśmy przez tę wędrownkę i pomyśleliśmy, że może byłaby pani tak uprzejma, żeby poczęstować nas czymś do picia.

- Mary, przynieś chłopcom trochę zimnego mleka - nakażała pani Turley i wróciła do wałkowania ciasta. Mleko – to rzeczywiście brzmiało o wiele lepiej niż woda.

- Nie przepadam za piciem mleka bez żadnej przekąski - kontynuowała pani Turley. - Mary, ukrój im świeżego chleba i wyjmij dżem truskawkowy.

Mary pospiesznie wykonywała polecenia mamy, podczas gdy pani Turley zręcznie operowała wałkiem, a my patrzyliśmy na siebie nawzajem, jak gdyby ktoś zaoferował nam za darmo luksusową wycieczkę do Nowego Jorku. W duchu

dziękowałem mojemu najlepszemu przyjacielowi Avery'emu za to, że namówił nas na wstąpienie do Turley'ów.

- Więc byliście na biwaku - zagała pani Turley.

Zdołaliśmy jakoś odpowiedzieć w przerwach pomiędzy przetykaniem ogromnych kęsów świeżego chleba z dżemem truskawkowym. Pani Turley piekła pyszny chleb.

- Dokąd poszliście?

- W górę rzeki, proszę pani.

- Po co?

To pytanie trochę zbiło nas z tropu. Po co wybraliśmy się na tę wycieczkę?

- Żeby zobaczyć źródło - wytłumaczył Willie. - Nigdy wcześniej tam nie byliśmy.

- Ja też nie - przyznała pani Turley - i nie zamierzam marnować na to czasu. - Po chwili jej ton złagodniał, a na twarzy pojawił się uśmiech. - Ale na pewno młodzi chłopcy z niewyczerpanymi pokładami energii patrzą na życie inaczej niż stara, zmęczona kobieta.

Nie bardzo wiedzieliśmy, jak na coś takiego odpowiedzieć. Żaden z nas nie nazwałby pani Turley starą i zmęczoną, szczególnie kiedy siedzieliśmy w jej kuchni, zajadając się jej pysznym, domowym chlebem.

- Mary, ukrój im jeszcze po kawałku - nakazała pani Turley, patrząc na nas przez chwilę - i dolej trochę mleka.

- Wszystko jest przepyszne, proszę pani - zauważył Avery. - Parę rzeczy poszło nie tak, jak to sobie zaplanowaliśmy i dlatego dziś rano musieliśmy się obyć bez śniadania.

Wstrzymałem oddech, ale Avery był najwyraźniej mądrzejszy, niż go o to podejrzewałem, bo ani słowem nie wspomniał o byku Turley'ów.

- W takim razie poczęstuję was jeszcze szarlotką - odparła pani Turley, nie przerywając zręcznej pracy wałkiem. - Mary, ukrój im trochę tego ciasta na oknie. Tylko uważaj, jest jeszcze gorące.

- Ależ... - zaczął Willie, lecz kopnąłem go pod stołem.

- Pachnie cudownie, proszę pani - wciąłem się szybko.

Mary nałożyła nam po naprawdę dużym kawałku i nagle nabrałem do niej nowego szacunku.

Smak ciasta okazał się tak samo wspaniały jak jego aromat. Do popicia dostaliśmy jeszcze trochę zimnego mleka. Cóż to była za uczta dla podniebienia!

- Pani Turley - powiedziałem, popijając ostatni kęs mlekiem - to była najlepsza szarlotka, jaką kiedykolwiek jadłem.

- Miło mi to słyszeć - odparła pani Turley rzeczowo, bez uśmiechu. - Moi mężczyźni jedzą w taki sposób, że ciężko powiedzieć, czy coś w ogóle im smakuje. Łykają w pośpiechu i odchodzą od stołu.

Pomyślałem sobie, że to przykre doświadczenie nie było udziałem wyłącznie pani Turley. Obiecałem sobie, że od tej pory zawsze będę chwalić kucharki - bez względu na to, kto nimi będzie.

Raz jeszcze podziękowaliśmy pani Turley, która promieniała, słuchając naszych komplementów pod adresem jej ciasta i chleba, po czym ruszyliśmy w dalszą drogę.

Gdy odchodziliśmy, Willie zwrócił się do sprzątającej po nas Mary.

- Tobie też dziękujemy, Mary - powiedział. - Za poczęstunek i w ogóle.

Avery i ja z lekkim zażenowaniem powtórzyliśmy jego podziękowania. Mary obdarzyła nas nieśmiałym uśmiechem.

W drodze powrotnej, kiedy nasze brzuchy były już pełne, a nastroje o wiele lepsze, zaczęliśmy zwracać większą uwagę na ten piękny jesienny dzień, co chwila wskazując sobie nawzajem jakieś przedmioty, które przykuły nasze oko.

Wzięło nas nawet na wspomnianie wycieczki. Na początku rozmawialiśmy o tym, co nam się podobało, jak na przykład kolorowe jesienne liście, dobra, bezdeszczowa pogoda czy przejrzystość wody, która stawała się coraz wyraźniejsza w miarę, jak zbliżaliśmy się do źródła. Potem przeszliśmy do innych zdarzeń. Przechodziliśmy właśnie nieopodal byka stojącego na pastwisku, w związku z czym cały ten przerażający incydent stał nam w pamięci jak żywy. Wkrótce jednak dostrzeżliśmy też zabawny aspekt tej sytuacji i zaczęliśmy się chichrać, klepiąc się nawzajem po plecach i niemal zwijając się ze śmiechu. Zanim zdążyliśmy się zorientować, przekonaliśmy samych siebie, że nasza wycieczka okazała się olbrzymim sukcesem i nie mogliśmy się już doczekać, aż wrócimy do domu i wszystkim o niej opowiemy. Orzekliśmy nawet, że niczego byśmy w niej nie zmienili. No, może z wyjątkiem braku ostatniego śniadania.

Mimo wszystko tęskniłem też za porządnym snem we własnym łóżku, gdzie nikt nie zabiera mi koca i nie oddycha ciężko prosto na moją twarz.



Rozdział 8

Znów do szkoły

CHOCIAŻ ZA NIC BYM SIĘ DO TEGO NIE PRZYZNAŁ, trochę tęskniłem za szkołą. Co i rusz dochodziły nas lokalne plotki na temat poszukiwań Szkolnej Rady. Dotyczyły zazwyczaj tego, z kim się kontaktowano, skąd pochodziła nowa nauczycielka i kiedy miała się u nas pojawić, ale szkoła nadal pozostawała zamknięta. Zaczynałem już się niepokoić, jak chyba większość uczniów. Doszło do tego, że sam zasiadałem do książek! Oczywiście tylko w zaciszu własnego pokoju.

Spędzałem ten czas na wsi z trzema mężczyznami. Dziadek co chwila wyszukiwał dla nas wszystkich jakieś drobne prace, ale tak naprawdę niewiele było już do zrobienia przed nadejściem zimy. Dziadzio ze śmiechem zasugerował, żebyśmy zajęli się robieniem na drutach, ale wujek Charlie stanowczo orzekł, że dla niego samo cerowanie już oznaczało zbyt bliski kontakt z igłą.

Od odejścia naszej nauczycielki wcale nie minęło tak dużo czasu, ale wydawało się, jakby upłynęły całe wieki.

Jeździłem z dziadkiem do miasta za każdym razem, kiedy tylko nadarzała się okazja. Czasami odwiedzałem Willie'go, a raz byłem też u Avery'ego. Odwiedziłem nawet Mitcha Turley'a, który przestał chodzić do szkoły, gdy tylko udało mu się namówić do tego rodziców. Wiedziałem, że Mitch nie zrozumiałby mojej tęsknoty za szkołą, więc nawet o niej nie wspominałem. Zamiast tego opowiedziałem mu o naszej wycieczce w górę rzeki. Historia brzmiała lepiej z każdym kolejnym razem, kiedy ją znów komuś relacjonowaliśmy.

Tak czy inaczej, nudziłem się. Chyba zaczynałem też denerwować mężczyzn na farmie, bo pewnego dnia dziadek oznajmił, że jedzie do miasta i może zabrać mnie z powrotem do ciotki Lou. Ostatnia plotka głosiła, że nowa nauczycielka była już w drodze i niebawem lekcje miały rozpocząć się na nowo.

Słyszeliśmy już wcześniej takie pogłoski i do tej pory nic z nich nie wynikło, ale się nie sprzeciwiałem. Spakowałem małą walizkę, wrzuciłem ją na tył powozu, wróciłem do kuchni pożegnać się z dziadkiem i wujkiem Charliem, a potem wziąłem Pixie na ręce i ruszyliśmy do miasta.

- Czujesz ten chłód w powietrzu, chłopcze? - zapytał dziadek, stawiając wyżej swój kołnierz. Wiatr rzeczywiście przeszywał na wskroś, kiedy się sterczało na wysokim siedzeniu powozu. Skinąłem głową, również podciągając kołnierz.

- Wygląda na to, że zima w końcu do nas zawita. Nie pamiętam takiej długiej jesieni, jak ta.

Raz jeszcze przytaknąłem i spojrzałem na drzewa rosnące wzdłuż drogi. Gałęzie łopotały to w jedną, to w drugą stronę, a liście tańczyły wokoło, jak gdyby w panice próbując znaleźć odpowiednie schronienie nim spadnie pierwszy śnieg.

Dziadek cmoknął na konie, by je pospieszyć, a potem zerknął w górę.

Mój wzrok powędrował za jego spojrzeniem. Bez wątpienia zanosiło się na opady śniegu. Nie chciałem myśleć o tym, że to oznaczało dodatkową pracę przy rąbaniu drzewa. Zamiast tego uśmiechnąłem się, wyobrażając sobie zjeżdżanie z pokrytych białym puchem wzgórz i ślizganie się na oblodzonych jeziorkach i stawach.

Gdy dojechaliśmy już do cioci Lou, zdawało się, że nikogo nie było w domu. Dziadek zapukał lekko, ale nikt się nie odezwał, więc wszedł do środka, jak miał to w zwyczaju za każdym razem, kiedy przywoził mnie do miasta. Kilka razy zawołał: „Halo, czy jest tu kto?“, ale bez skutku.

- Lou chyba nie... – zaczął, lecz urwał szybko, kiedy usłyszeliśmy jakiś dźwięk z sypialni.

Dziadek przechylił głowę, nasłuchując.

- Lou? - zawołał.

- Tutaj, tato - dobiegła nas słaba odpowiedź.

Obaj weszliśmy do pokoju Lou. Leżała w łóżku z rozpalonymi policzkami, a okna sypialni były zasłonięte.

- Źle się czujesz? - zapytał łagodnie dziadek, a ja zastanawiałem się, po co pyta, przecież widać. Lou nie należała do tych, którzy bez powodu kładą się do łóżka w środku dnia.

Uśmiechnęła się, ale jej uśmiech wyglądał dość słabo.

- Nie jest tak źle - odpowiedziała - ale lekarz zalecił mi, że bym poleżała kilka dni.

Dziadek podszedł do jej łóżka. Wydawało się, że jego wielka, spracowana ręka automatycznie sięgnęła do czoła Lou.

- Czyli był u ciebie lekarz? - dopytywał. Wiedziałem, że go to zmartwiło. Lekarza nie wzywa się, kiedy ktoś ma zwykły katar albo ból brzucha.

- Wszystko w porządku, tato, naprawdę - zapewniła go Lou prędko. - Nie czuję się jakoś strasznie chora, ale lekarz powiedział, że w moim wieku powinnam poleżeć. Odra może nieść ze sobą wiele powikłań.

- Odra? – chyba obaj powtórzyliśmy to słowo jednocześnie.

Na twarzy Lou pojawił się lekko zażenowany wyraz.

- Mała Sarah Smith zachorowała na różyczkę, a potem zaraziła swoją mamę. Chciałam im przynieść trochę książek i rosół... Cóż, nie powinnam była tam chodzić. Tak czy inaczej, teraz sama mam różyczkę, a ponieważ i lekarz, i Nat, kazali mi zostać w łóżku, no to leżę w łóżku.

Sposób, w jaki to powiedziała, dawał do zrozumienia, że wcale jej się to nie podoba.

- Powinnaś była po nas posłać - powiedział dziadek.

- Nie jestem chora, tato, naprawdę. Nie było potrzeby, żeby was martwić.

- Cóż, teraz będziesz miała Josha do pomocy - odezwał się dziadek. – Przyda ci się. Załatwi wszystkie potrzebne sprawunki. Umie też trochę gotować. Charlie uczył go przez ten ostatni tydzień, bo chłopak się już strasznie nudził.

Lou obdarzyła mnie uśmiechem.

- Dobrze mieć cię z powrotem, Josh - powiedziała. - Tęskniłam.

Wiedziałem, że nie chodziło jej tylko o pomoc. Ciocia Lou naprawdę za mną tęskniła. Za mną i za Pixie.

Podąłem Pixie w jej wyciągnięte ręce, a piesek wygodnie się rozłożył, od czasu do czasu liżąc swym małym języczkiem twarz cioci Lou. Zacząłem się trochę bać - czy pies może zarazić się różyczką? Potem jednak doszedłem do wniosku, że raczej nie.

- Pójdę się rozpakować - powiedziałem.

Wymijając swoje rzeczy, usłyszałem dźwięk gwizdzącego czajnika. Dziadek przygotowywał dla cioci Lou trochę świeżej herbaty. Przypomniałem sobie o wiszącym na zewnątrz praniu, które widzieliśmy wjeżdżając do domu, i stwierdziłem, że dobrze byłoby je zebrać przed nadejściem burzy. Gdy wreszcie udało mi się rozplątać wszystkie ubrania, które wiatr owinął wokół liny, moje palce były zdrętwiałe od zimna. Jesień bez wątpienia dobiegała końca.

Zbliżając się do wejścia, usłyszałem śmiech cioci Lou. Nie wiedziałem, o czym opowiadał jej dziadek, ale wydawało się, że historia bawiła ich oboje. Złożyłem pranie, z przyjemnością wdychając unoszący się z niego świeży zapach pola, a potem włożyłem je do kosza. W międzyczasie odzyskałem czucie w palcach.

- Josh - zawołała ciocia Lou - w misce na stole leżą ciastka. Pani Brown przyniosła je dzisiaj rano. Poczęstuj się i przynieś też, proszę, kilka dla dziadka.

- Potrzebujecie czegoś jeszcze, zanim pójde po drewno?
- zapytałem z pełną buzią, podając jednocześnie naczynie z ciastkami dziadkowi.

- Czy mógłbyś kupić schab na kolację? - poprosiła Lou. Skinąłem głową i wepchnąłem do ust ostatnie ciastko, żeby mieć wolne ręce i moc zapiąć płaszcz.

U rzeźnika zawsze było sporo kupujących. Czasami stałem tam w kolejce po dziesięć czy piętnaście minut. Ten sklep nie należał do moich ulubionych miejsc. Nie podobał mi się jego zapach - mieszanka trocin i świeżego mięsa. Nie lubiłem patrzeć na skrzynie pełne kawałków tego, co kiedyś było czyjąś krową albo świnią. Wolałbym poczekać na zewnątrz, ale zrobiło się już tak zimno, że wszedłem do środka. Stałem w kolejce, która tego dnia była wyjątkowo krótka.

Rzeźnik zajmował się każdym klientem po kolei. Wręczywszy pani Olaf opakowaną w brązowy papier wołowinę, odznaczył coś w swoim zeszycie, po czym zwrócił się do mnie.

- Dzień dobry, Joshua. Zakładam, że słyszałeś już dobre wieści?

Z tego, co pamiętałem, nie słyszałem żadnych wieści - dobrych czy złych - więc pokręciłem przecząco głową.

- Nie, proszę pana.

- Nie? Cóż, chłopcze, wasze wakacje dobiegły końca. Osoba, które ma was uczyć, przyjechała do miasta dzisiaj pociągiem.

Oczekiwał chyba, że stracę dobry humor albo zacznę narzekać, a on będzie mógł trochę sobie ze mnie pożartować. Na moich ustach lub w oczach musiał jednak pojawić się

delikatny uśmiech, bo zamiast tego przybrał zaskoczony wyraz twarzy, a potem posmutniał, jak gdybym zepsuł mu zabawę.

- Nie jesteś zawiedziony? - zapytał.

- Nie, proszę pana - odparłem szczerze.

- Lubisz szkołę? - dociekał nieufnie.

Tym razem zawahałem się przed udzieleniem odpowiedzi. Nie chciałem, żeby pomyślał sobie, że coś ze mną nie tak. Przełknąłem ślinę.

- Chyba tak - odezwałem się w końcu.

Potrząsnął głową próbując rozjaśnić umysł, a potem powiedział coś dziwnego.

- To dobrze. Może nie będziesz musiał spędzić życia sterząc nad śmierdzącym mięsem.

Wręczył mi pakunek i w zeszycie dodał zakup do rachunku wujka Nata.

Nie wiedziałem, jak zareagować, więc wymamrotałem podziękowania i wyszedłem na zewnątrz. Poza tym i tak spieszyło mi się do domu. Miałem do przekazania ważne, całkowicie prawdziwe informacje!

Gdy dotarłem do domu, cały zdyszany, bo biegłem pod wiatr, zobaczyłem, że wujek Nat wrócił już z kościoła i siedział teraz u boku cioci Lou. Wyraźnie mu ulżyło, że ciocia Lou posłusznie leży w łóżku i cieszył się z wizyty dziadka.

- Wracamy do szkoły - wysapałem do całej trójki.

- Nauczycielka już przyjechała? - zapytał dziadek z uśmiechem. – Więc tym razem plotki okazały się prawdziwe.

- Nauczyciel - poprawił go delikatnie wujek Nat.

Wszyscy na niego spojrzeliśmy.

Oczy dziadka spoczęły z powrotem na mojej zaczerwienionej twarzy.

- Kiedy przyjechała?

- Przyjechał - odezwał się znów wujek Nat.

Dopiero wtedy zrozumieliśmy, co chciał powiedzieć. A przynajmniej dziadek rozumiał.

- To mężczyzna?

- Tak - potwierdził wujek Nat.

- Ile ma lat? - dopytywał dziadek, a ja pomyślałem, że zastanawia się, czy nauczyciel będzie sobie w stanie poradzić ze starszymi chłopcami.

- Wydaje mi się, że jest w średnim wieku - objaśnił wujek Nat.

- W średnim wieku - powtórzył dziadek, najwyraźniej analizując tę informację. - Przyjechał sam?

- Nie, ma żonę i dziecko.

- Dziecko? - To pytanie również padło ze strony dziadka.

- Córkę - dodał wujek Nat, a ja automatycznie przestałem się tym interesować. Gdyby chodziło o chłopca, pewnie ciekawiloby mnie, ile ma lat.

- To dobrze - powiedział dziadek. - Naprawdę dobrze. W końcu będziesz mógł wrócić do nauki, chłopcze.

Skinąłem głową, nagle przypominając sobie, że nadal trzymam w dłoni zawinięty w papier schab.

Dziadek wstał i zebrał kubki.

- Lepiej będę się już zbierać, zanim nadejdzie burza - powiedział. - Josh, wzięłeś z wozu mleko i masło?

- Tak jest - odparłem.

- W takim razie jadę. Dbaj o siebie, Lou, dobrze? Josh jest na miejscu, zwarty i gotowy do pomocy.

Lou uśmiechnęła się.

- Obiecuję! - zadeklarowała. - Chociaż nie czuję się już wcale chora.

- Z trudem zatrzymałem ją w łóżku - zaznaczył wujek Nat.

- Nie ma co ryzykować - przypomniał dziadek, po czym się zamyślił. - Wydawało mi się, że miałaś różyczkę jako mały szkrab.

- Nie, to była odra - wytłumaczyła ciocia Lou. - Doktor mówi, że przy różyczce człowiek czuje się względnie dobrze, ale czasem występują powikłania.

- No cóż, trzymaj się. - Dziadek pochylił się, by pocałować ciocię Lou w policzek, wyciągnął rękę i podrapał ucho Pixie, a potem zwrócił się do mnie.

- Cieszę się, że wracasz do szkoły, chłopcze - powiedział raz jeszcze, klepiąc mnie po ramieniu.

Później odezwał się do Nata.

- Wiesz może kiedy rozpoczną się lekcje?

- Z tego, co słyszałem, w przyszły poniedziałek - poinformował wujek.

To mnie trochę rozczarowało. Była dopiero środa. Miałem nadzieję, że szkoła zacznie się już następnego ranka. Nie mogłem się doczekać, żeby zobaczyć nowego nauczyciela. Nigdy jeszcze nie uczył mnie mężczyzna.

- Nauczyciel pewnie potrzebuje kilku dni, żeby się zado-mowić - zgadywał dziadek.

Jeszcze raz dotknął mojego ramienia, jak zawsze delikatnie ściskając je na pożegnanie, po czym wyszedł razem z wujkiem Natem, który chciał go odprowadzić.

Dopiero wtedy zaniósłem schab do kuchni.

- Wybierz sobie, co wolisz, Josh - zaoferował dobrodusznie wujek Nat. – Chcesz zrobić kolację czy przynieść drewno?

Nie wahałem się nawet przez moment.

- Zajmę się drewnem - odparłem szybko, a potem zdjąłem z siebie porządną kurtkę, by przed wyjściem z kuchni założyć robocze ubranie.

W powietrzu zdecydowanie dało się już wyczuć nadciągające opady śniegu.



Rozdział 9

Nowy nauczyciel

W CIĄGU NASTĘPNYCH KILKU dni nie miałem zbyt wiele czasu, żeby rozmyślać nad powrotem do szkoły. Ponieważ ciocia Lou ciągle była przykuta do łóżka, a wujek Nat zajmował się swoimi kościelnymi obowiązkami, miałem ręce pełne roboty. W międzyczasie nadeszła też pierwsza burza śnieżna, co oznaczało więcej drewna do rąbania i węgla do dźwigania. Ależ było zimno! Można by pomyśleć, że stara Pani Zima próbowała nadrobić stracony czas w jeden dzień, bo już za długo nacieszyliśmy się ciepłem i słońcem. Wydawało się, że hałdy śniegu urosły w ciągu jednej nocy, a północny wiatr usypał z nich małe zaspę dookoła domu. Żeby dostać się do szopy z węglem i drewnem, musiałem najpierw przekopać sobie drogę łopatą. Krajobraz wyglądał jednak ślicznie.

Od czasu do czasu któryś z chłopaków pojawiał się z najświeższymi wiadomościami na temat nowego nauczyciela.

Z powodu kwarantanny nie mogłem zapraszać ich do środka, więc rozmawialiśmy przez otwarte okno albo przed wejściem. Zdziwilibyście się, jakie historie dotyczące nowego nauczyciela krążyły po okolicy.

Jedna mówiła, że szukał u nas kryjówki przed prawem, według innej uciekał przed wojskiem, a zgodnie z następną to jego żona uciekała przed nim. Słyszałem też, że został zwolniony z ostatniej szkoły za to, że jednego chłopca pobił niemal na śmierć, oraz że stracił posadę z powodu fałszywych oskarżeń zazdrosnej kobiety, dla której nie chciał zostawić swojej żony.

Mówiono też o jego finansach. Niektórzy twierdzili, że miał na karku wierzycieli, podczas gdy inni utrzymywali, że stracił dom, konia i cały majątek na rzecz lokalnego banku w miejscowości, gdzie wcześniej uczył.

Nikt zresztą nie wiedział na pewno, skąd przyjechał. Nikt w ogóle nie był *niczego* pewien, ale plotki i tak pchały się drzwiami i oknami do okolicznych domów. Wujek Nat zaczął mieć już tego dość i powiedział, że ktoś powinien zwołać spotkanie w mieście, żeby położyć kres tym niedorzecznościom.

- Człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodni się jego winy - oznajmił.

Wszystko to było bardzo tajemnicze. Nie mogłem się już doczekać, aż wreszcie spotkam tego pana. Nie miałem wątpliwości, że kiedy tylko na niego spojrzę, będę w stanie ocenić, czy w którejś z krążących historii jest choć trochę prawdy.

Nim nastał poniedziałek, doktor pozwolił cioci Lou wstać z łóżka. Lou już nie mogła tam dłużej wytrzymać, a wujek Nat

i ja tęskniliśmy za jej opieką nad domem chyba równie mocno, jak ona sama.

Ruszyłem do szkoły bardzo podekscytowany, z przygotowanym przez ciotkę Lou wiaderkiem ze śniadaniem. Uzgodniłem z Williem, Jackiem i Avery'm, że spotkamy się na rogu głównej ulicy i pójdziemy do szkoły razem. Żaden z nas nie chciał, żeby inny zobaczył nowego nauczyciela jako pierwszy.

Kiedy cały zasapany dotarłem na umówione miejsce, Willie i Avery już na mnie czekali. Powietrze było mroźne, a od biegu w taki chłodny poranek aż bolały płuca. Podchodząc z zadyszką do chłopaków miałem wrażenie, że wszystkie wnętrzności zdążyły mi zamarznąć.

Musieliśmy jeszcze poczekać na Jacka. Staliśmy w miejscu, tupiąc nogami i klaszcząc w dłonie, żeby choć trochę się rozgrzać. Już mieliśmy spisać go na straty i iść do szkoły we trzech, gdy zobaczyliśmy, że Jack wybiega zza rogu. Jego policzki były zaczerwienione - pewnie z powodu zimnego wiatru. Za chwilę złapał mnie za ramię, mocno ściskając.

- Nie uwierzycie - powiedział. - Sam bym nie uwierzył, gdybym nie zobaczył na własne oczy.

- Nie zobaczył czego? - dopytywał Willie. Avery i ja również nastawiliśmy uszu.

- Wiecie, że nowy nauczyciel wprowadził się niedaleko nas.

Czekaliśmy zastanawiając się, czy rewelacje Jacka przebiją wszelkie inne historie, które już słyszeliśmy.

- W sobotę mama wysłała mnie od miasta po jajka i mleko. I wtedy zobaczyłem, jak wychodziła z bramy...

- Kto? - powiedzieliśmy wszyscy naraz. - Kto?

Wiedziałem, że wszyscy trzej myślimy intensywnie, zachodząc w głowę, co Jack powie dalej.

Jack popatrzył na nas tak, jak gdybyśmy powinni wiedzieć, o kim mówił.

- Jego córka! - powiedział. - Kto inny?

- Jego córka! - niemal wybuchnęliśmy.

- Jejku - westchnął Avery – a ja myślałem, że masz rzeczywiście jakieś *ciekawe* wieści.

- Myślę, że jego córce wolno wychodzić z domu, jeśli ma na to ochotę - rzuciłem sarkastycznie i odwróciłem się od Jacka.

- No, dobra - dołączył Willie. - Chodźmy do szkoły, bo za chwilę zamarzniemy.

Jack wyglądał na rozczarowanego. Nie rozumiałem dlaczego i z jakiegoś powodu był bardzo podekscytowany czymś tak zwyczajnym.

- Czekajcie, chłopaki - zawołał, kiedy zaczęliśmy iść w stronę szkoły. - Zaczekajcie...

Ale my nawet nie chcieliśmy tego słuchać.

Jack spróbował raz jeszcze.

- Po co ten pośpiech? Nie chcecie usłyszeć...

- Dlaczego miałby nas interesować jego dzieciak? - dopytywał Avery. - Coś z nią nie tak?

Jack zatrzymał mnie, a reszta chłopaków odwróciła się, by na niego spojrzeć.

- Nie widzieliście jej? - zapytał Jack.

Pokręciliśmy głowami, a ja próbowałem pozbyć się dłoni Jacka z mojego ramienia.

- A słyszeliście coś na jej temat? - kontynuował.

- Słyszałem tylko, że nauczyciel ma córkę - wzruszyłem ramionami.

- Tak, ja też - dorzucił Willie, a wyraz jego twarzy mówił: „No i co z tego?”. Odwrócił się. - Chodźmy już, za niedługo zaczną się lekcje.

Jack puścił mnie, ale na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz.

- Myślę, że czeka was spora niespodzianka - powiedział tylko.

Wszyscy spojrzeliśmy na niego, jak gdyby postradał zmysły.

Weszliśmy do małego korytarza, otrzepaliśmy płaszcze ze śniegu i powiesiliśmy je każdy na swoim wieszaku. Wyciągałem szyję w kierunku klasy, próbując dostrzec nowego nauczyciela.

Inni uczniowie tłoczyli się już przy wejściu. Wymieniliśmy kilka żartobliwych uwag z chłopakami, a dziewczyny przepuściliśmy bez słowa. Jedna czy dwie z nich zerknęły w naszą stronę i lekko zachichotały. Moim zdaniem dziewczyny były strasznie dziwne.

Nie mogliśmy wejść do środka przed dzwonkiem. Chłopcy tak po prostu nie robią, to nie uchodzi. Ale bardzo chcieliśmy wreszcie zobaczyć, jak wygląda mężczyzna, który będzie naszym nauczycielem przez pozostałą część roku. Nasłuchawszy się krążących w sąsiedztwie historii, nie wiedziałem, czy spodziewać się po nim długich, zakręcanych wąsów i rozbieganego spojrzenia, czy też raczej czerwonego ogona i rogów.

Tak czy inaczej staliśmy w korytarzu, wychylając się, żeby zobaczyć, co znajduje się w pomieszczeniu za lekko uchylonymi

drzwiami. Nagle po naszej drugiej stronie otworzyły się drzwi wejściowe i do środka wpadł podmuch niosącego śnieg wiatru. Zza białej chmury wirujących płatków wyłoniła się najpiękniejsza postać, jaką kiedykolwiek widzieliśmy. Chyba wszystkim nam opadły szczęki. Stała zaledwie kilka stóp od nas, strzepując śnieg ze swojego zielonego, wyglądającego na aksamitny płaszcza, z zaróżowionymi policzkami i niebieskimi, niesamowicie niebieskimi oczami spoglądającymi na nas spod białego, puchatego kapelusza. Zdjęła go, by otrzepać go ze śniegu, a na jej ramiona opadły rudobrazowe loki.

Avery jako pierwszy odzyskał głos.

- Kto to jest? - usłyszałem jego zachrypnięty szept.

Ja byłem za bardzo zajęty patrzeniem, by cokolwiek odpowiedzieć.

Dziewczyna zerknęła w naszą stronę i - zamiast spuścić oczy, zaczerwienić się z zażenowania albo zachichotać jak wszystkie inne - obdarzyła nas trzeźwym spojrzeniem, któremu towarzyszył delikatny, żartobliwy uśmiech. Potem zniknęła za drzwiami klasy.

- Kto to był? - wychrypiał raz jeszcze Avery.

- Och - odezwał się Jack z przemądrzałym uśmiechem - to tylko córka nauczyciela.

- Dlaczego nic nie powiedziałeś? - zapytał Avery.

- Przecież nie interesował was dzieciak nauczyciela, pamiętasz?

Popatrzyłem na niego z dezaprobatą i zacząłem przepychać się obok pozostałych chłopaków. Dzwonek jeszcze nie

zadzwoił, ale nie chciałem stać i czekać. Musiałem sprawdzić, czy to była zjawą albo jakiś sen.

Przejechałem się do ławki z tyłu sali, którą uważałem za swoją, w jakiś sposób nikogo przy tym nie depcząc. Usiadłem i niedbale położyłem książki na drewniany blat przed sobą, podczas gdy moje oczy wędrowały po całej sali.

O, tak. Była tam. Zdjęła już swój zielony płaszcz. Miała na sobie niebieską sukienkę, która podkreślała błękit jej oczu. Wszyscy byli w nią wpatrzeni.

Dźwięk dzwonka dobiegł mnie jak gdyby z oddali, jak przez mgłę. Zorientowałem się, że inni uczniowie stają na baczność. Usłyszałem głos, który zwracał się do nas z przodu sali. Udało mi się jakoś wsłuchiwać w słowa, które wypowiadał ów głos i wykonywać polecenia, jakie wydawał.

Czytałem, gdy kazano mi czytać, odpowiadałem, kiedy mnie pytano, pracowałem nad zadaniami, które miałem rozwiązać, wziąłem udział w klasowym konkursie literowania, a nawet zdołałem jakoś zdobyć się na tyle grzeczności, by każde zdanie kończyć sformułowaniem „proszę pana”. Sam nie wiem jak przetrwałem ten poranek, bo moje myśli bez wątpienia krążyły wokół czegoś zupełnie innego.

Podczas dłuższej przerwy w południe wszyscy chłopcy zebrali się, by wymienić uwagi na temat córki nauczyciela. Słuchałem, co mówili, ale sam nie bardzo się udzielałem. Obgadywanie jej w taki sposób wydawało mi się prostackie.

Skeet Williams pociągnął Jacka Berry'ego za przód koszulki.

- Jak ma na imię? Jak ma na imię? - nalegał. Jack, świadomy, że jako jedyny widział dziewczynę przed rozpoczęciem

zajęć, poczuł się nagle strasznie ważny. Nie chciał się do tego od razu przyznać, lecz niestety nie znał jej imienia.

- Kamelia - zaszczębiotał Andy Johnson, zadzierając nosa.

- Skąd wiesz? - zapytał Jack, któremu wyraźnie nie w smak było, że ktoś inny wie na temat nowej dziewczyny coś więcej niż on sam.

- Nauczyciel... jej tata tak ją nazwał. Nie słyszałeś?

Jack musiał zaprzeczyć. Ja też tego nie słyszałem. Ale tego ranka nie bardzo w ogóle słuchałem, co mówił nauczyciel.

- Kamelia - powtórzył Avery półgłosem. - To taki kwiat, prawda?

Chłopcy zareagowali skinieniami głowy i komentowali, jakie to piękne imię. Oddaliłem się od nich. To, jak się zachowywali, było prawie tak beznadziejne jak chichot dziewczyn. Nie miałem na to ochoty.

Avery poszedł za mną. Ruszyłem przez oblodzone szkolne podwórze, po drodze kopiąc grudy zamrożonego śniegu, suchą trawę i wszystko, co się nawinęło.

- Co się dzieje, Josh? - zapytał zrównując krok z moim. - Jesteś o coś zły?

- Nie - odparłem. - Nie jestem zły.

- Nie zaraziłeś się przypadkiem odra, co?

Podniosłem głowę.

- Nie, coś ty. Co ci przyszło do głowy?

- No nic, jesteś po prostu taki cichy. Zazwyczaj przyłączasz się do zabawy.

- Zabawy! - powtórzyłem kwaśno. - To miała być zabawa?

Avery spojrział na mnie ze zdziwieniem.

Zaczął coś mówić, ale mu przerwałem.

- Nie wydaje mi się to sprawiedliwe, żeby obmawiać kogoś, kiedy ta osoba nie ma szansy się obronić ani nic.

- Przecież nie mówiliśmy nic złego - sprzeciwił się Avery.

- Cóż... To zależy od punktu widzenia - utrzymywałem. - Może tej dziewczynie nie spodobałoby się, że chłopcy tak się jej czepiają. Jakby była jakimś widowiskiem.

Avery przełknął ślinę.

- To znaczy - kontynuowałem - dajmy sobie może spokój z tą dziewczyną i zagrajmy w lisa i gęsi albo coś innego.

- Nie lubisz jej, co? Ale co ona ci takiego zrobiła...?

Spojrzałem Avery'emu prosto w oczy. Chciałem mu powiedzieć, jaki jest głupi, ale przecież był moim najlepszym przyjacielem. Skulił się pod moim przesywającym wzrokiem i zaczął szurać nogami po oblodzonej ziemi.

- Nie chodzi o to, czy ją lubię, czy nie - odezwałem się w końcu. - Nawet jej nie znam. Jeszcze. I ty też nie. Ani żaden z chłopaków. A takie stanie i gadanie o niej nie przyniesie nikomu pożytku. Możemy równie dobrze w coś pograć.

- Zawołałem chłopaków - zaferował Avery, ale przed odejściem powiedział coś jeszcze, a w jego cichym tonie usłyszałem lekką dezaprobatę. - Wiesz, że każdego dnia upodabniasz się do swojego wujka, pastora? Wszyscy w mieście wiedzą, że nie toleruje obmawiania innych.

Odwrócił się na pięcie i poszedł.

Wiedziałem, że wujek Nat nie słuchał lokalnych plotek. Sam niegdyś był ich przedmiotem jako dziecko w trudnej sytuacji rodzinnej. Nie wiedziałem jednak, iż ludzie kojarzyli go

przede wszystkim z tym, że sprzeciwiał się plotkowaniu w swojej obecności.

Cóż, może rzeczywiście się tego od niego nauczyłem. Ja też nie lubiłem długich języków. I ani trochę nie uważałem tego za powód do wstydu.

Avery zebrał pozostałych chłopców i ustawiliśmy się w kółko, żeby zagrać w lisa i gęsi. Zabawa szybko się rozkręciła, ale wkrótce zauważyłem, że chłopcy co chwila spoglądają w stronę dziewczyn, z którymi nowa uczennica, Kamelia, grała w berka.

Widać było, że od razu dobrze się czuje w nowym towarzystwie, a do tego potrafiła biegać tak szybko, jak Mary Turley, która uchodziła za bardzo wysportowaną, jak na dziewczynę.

W końcu zadzwonił dzwonek i wszyscy wróciliśmy do ciepłej klasy. Nie mogłem nie zauważyć, jak ślicznie Kamelia wyglądała z zaróżowionymi policzkami i kasztanowo rudymi włosami zmierzwionymi od biegania na wietrze.

Pod koniec dnia starsi chłopcy razem wychodzili ze szkolnego podwórza, i zgadnijcie, o czym rozmawiali? Nie chciałem tego słuchać. Z jakiegoś powodu ich uwagi i żarty wydawały mi się nie w porządku. Oddaliłem się, mówiąc, że muszę się spieszyć do domu, bo możliwe, że ciocia Lou będzie mnie potrzebowała.

Zdaje się, że całą drogę pokonałem biegiem. Sam nie jestem pewien.

Kiedy wszedłem do ciepłej, wypełnionej zapachem piezowego chleba kuchni, zobaczyłem, że ciocia Lou wygląda już na zupełnie zdrową.

- Jak tam pierwszy dzień w szkole po przerwie, Josh?
- zapytała.

- W porządku - odparłem.

- Dobrze było wrócić do nauki?

Potwierdziłem.

- A jaki jest ten wasz nowy nauczyciel?

Otworzyłem usta, by coś odpowiedzieć, ale zaraz zawstydzony je zamknąłem. Nagle uświadomiłem sobie bowiem, że nie miałem zielonego pojęcia. Nie mogłem sobie nawet przypomnieć, jak wyglądał.